WIENIEC

PISMO DODATKOWE

DO

GAZETY WARSZAWSKIÉJ

POŚWIĘCONE LITERATURZE

Różnéj barwy i woni kwiatki mieszczę w sobie
Tych wonią serca pieszczę tych się barwą zdobię.

Tom VII.

MIESIĄC PAŹDZIERNIK.

WARSZAWA

1839.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej

TRZY JACHTY

(przez kapitana Marrjata.)

I.

PIERWSZY JACHT.

Czy byłeś kiedy w Plymouth, szanowny czytelniku? Jeżeliś tam był, wzrok twój zachwycał się widokiem posiadłości hrabiego Mount—Edgcumbe, jeżeliś nie był to im prędzéj tam będziesz tém lepiéj. W kolońji Mount—Edgcumbe ujrzysz najpiękniéjszy w świecie las budulcowy, kto nie wi-

dział tego lasu, ten nic nie widział; las ten wspaniale wznosi się na szczytach gór i potém spuszcza się po ich pochyłości aż do morza. Z tego czarownego miejsca odkrywa się jedna z najwspanialszych panoram na świecie: ujrzysz tu... nie wiem nawet czego tu nie ujrzysz!... Ram-Head i Cawsand, Breakwater wyspę i djabli most pod nogami, daléj Plymouth z jego fortyfikacjami i Hoe, daléj czarci przylądek, i nakoniec samego czarta, nie licząc nowych prowjantskich magazynów. Przed temi magazynami, sir James Gordon codzień się zatrzymuje, biorąc tabakę od wszystkich przechodzących którzy mają tabakierki, ci zachwyceni że częstują samego barona tabaczką, on zachwycony że go częstują, co dowodzi jaka massa zachwycenia dla ludzi może się zawierać w kilku w tabakierkach. Potém ujrzycie Mont-Wise i Mutton Coe, miasto Devonport z jego wspaniałemi warsztatami okrętów i arsenałem. Ujrzysz okręta budujące się i tylko co zbudowane; statki naprawiające się i naprawione; statki gotowe wystąpić pod żagle i statki idące tam i na powrót pod żaglami, nie mówiąc już o przewozowych czółnach

portowych barkach, szalupach z wojennych i kupieckich okrętów i markietańskich i rybackich łódkach. Słowem, wiele rzeczy można widzieć w Plymouth, lecz ja teraz pragnę szczególnie, żebyś się zatrzymał na wzgórzach Mount-Edgcumbe, tam ujrzysz stojący na jednéj kotwicy niewielki statek, który my marynarze, nazywany tenderem, i po jego banderze łatwo się domyślisz że to jest jacht prywatnéj osoby.

Ze wszystkich uciech skracających czas angielskiego *gentry*, nie ma żadnéj która byłaby tak silną, tak narodową i więcéj mnie zachwycającą jak przejażdzka na jachcie. Zgadza się ona z charakterem Anglików, nie tylko przez geograficzne położenie ich ojczyzny i mnóstwo wybornych portów lecz i przez to że podobne rozrywki wymagają pewnego stopnia mocy charakteru i znacznych pieniędzy, które w Anglji płyną rzekami jak w innych krajach miód i mleko.

Przejażdżka na jachtach z mądrym celem była zaprowadzoną i utrzymaną przez monarchów, angielskich, którzy czuli, że bezpieczeństwo kraju wymaga, żeby wszyscy jego mie-

szkańcy byli mniéj więcéj marynarzami, a przynajmniéj znali morskie rzemiosło. Uciecha ta ważną jest jeszcze i przez to że budowa i uzbrojenie statków, daje zajęcie mnóstwu robotników i majstrów. Lecz jeżeli będę prawił pochwały przejażdżce po morzu, powieść moja nigdy się nie zacznie. Wzniosę więc toast za zdrowie admirała lorda Yarborough i całego klubu jachtów, i zaczynam.

Jacht ten, jakem już powiedział, uzbrojony jako tender, ozdobnie siedzi na gładkiéj powierzchni wody. W téj chwili podnoszą kotwicę, rozpuszczają żagle i wkrótce wystąpi na morze; kilka dam siedzi na pokładzie i pięć sieci z zwierzyną wisi nad rudlem.

Wejdźmy na ten przyjemny statek. Pokład ułożony z wązkich, długich desek, białych jak śnieg; nie ujrzysz na nich ani jednego sęczka; miedziane armaty wypolerowane, jak żar gorejąna słońcu; wszystkie narzędzia i sprzęty masyw machoniowe; wszystkie gzymsy złocone. Niczego nie brakuje: a przecie jak przestrono na pokładzie! Zstąpmy wewnątrz statku. Oto damska kajuta. Czy jest cokolwiek w świecie wykonane z większym smakiem, elegancją i roz-

koszą? Oto kajuta stołowa, gdzie teraz siedzą mężczyzni; proszę mi znaléść na lądzie pokój lepiéj urządzony i bogatszy. Zajrzyjmy do bufetu: tam wyciskają sok cytrynowy do ponczu; obok stoi szampan w lodzie; a tam najlepsze w świecie Bordeaux i w pogotowiu cały rząd butelek z doskonałemi winami. W przedniéj części statku izba sypialna dla majtków: jak przestrono, jak wygodnie! Wcale nie tak jak na wojennych okrętach, gdzie majtkom ciasno, jak śledziom w beczce; tu, przeciwnie, wszędzie wygląda rozkosz i dostatek. A jaka naprzykład kuchnia? A to cud! I jakaż zachwycająca wonna para zupy żołwiéj? jeśli się trzeba wystawiać na niebezpieczeństwa burz morskich, to już przynajmniéj na takim statku.

Teraz chcę was zaznajomić z zebranemi tam osobami.

Uważajcie tego podżyłego, zdrowego i przystojnego mężczyznę, w błękitnéj kurtce i białych pantalonach, z lunetą w jednéj, i szklanką koniaku w drugiéj ręce: to jest właściciel, członek klubu jachtów, lord Beauprey. Wygląda na marynarza, i w saméj rzeczy dobry z niego żeglarz; a

jednak zdarzało mi się widzieć go w todze para przy otwarciu parlamentu. Obok niego stoi mister Stewart, porucznik marynarki królewskiéj: trzyma się jedną ręką za linę dla tego że całe życie był w służbie czynnéj i nie wie co począć z swemi rękami, jeśli w nich nie ma kieliszka albo lunety. Jest on *protégé* szlachetnego lorda, i pełni na jachcie obowiązek dowódcy.

Ten kształtny mężczyzna co stoi przy nich jest mister Hautaine. Służył na flocie przez sześć lat jako midshipman i znienawidził morze; służył drugie lat sześć w kawalerji i tę służbę także znienawidził; nakoniec ożenił się, i w daleko mniejszym przeciągu czasu znienawidził kobiety. Teraz jest przyjmowany w najlepszych towarzystwach i jest namiętnym lubownikiem cudzych jachtów i cudzych żon, widząc niepodobieństwo kochania własnéj.

Młody człowiek w haftowanéj jedwabnéj kamizelce i białych rękawiczkach, schylony ku jednéj z dam, jest to mister Vaughan; można go widywać w arystokratycznych towarzystwach w Almack, w modném „piekle" u Crockforda, wszędzie gdzie się podoba. Cokolwiek ma długów

i dla tego przejażdkę na jachtach po morzu znajduje bardzo przyjemną.

Ten co siedzi między damami, jest kuzynem lorda, z pierwszego spojrzenia można odgadnąć jego charakter. Gra rolę wielkiego żeglarza, nie golił się, dla tego że żeglarze nie mają czasu często się golić; rzadko przemienia bieliznę, bo marynarze nie mogą czynić tego co dzień, pali nie zwykłe dla siebie cygaro, od którego kręci mu się głowa, i opowiada o przyjemnościach wzburzonego morza, pewny, że wczasie niepogody, damy pójdą na dół i nie będą wiedziały że on z mniejszą odwagą znosić ją będzie niż one. Nieszczęściem jego jest że się urodził dla otrzymania ogromnego spadku i jest głupim z przyrodzenia. Nazywa się Ossulton, jest krewnym lorda Beauprey którego ród nosi toż samo miano.

Pozostaje mi jeszcze zaznajomić was z jednym człowiekiem który się nazywa mister Seagrove, przystojny, szczupły, rysy twarzy przyjemne, nawet rozsądne. Wychowano go na prawnika do czego posiada wszystkie zdolności, szkoda że dotąd nie użyte, dla tego że w żadnéj sprawie

nie był adwokatem i zdaje się że nim nie będzie.

Mister Seagrove dobrze gra na skrzypcach, i dla tego został zaproszony do towarzystwa, zebranego przez lorda Beauprey na jachcie.

Teraz trzeba opisać damy i może mi należało zacząć od tego; stało się, z resztą ja się trzymam prawidła, co najlepsze to odkładać na koniec: jest to także prawidłem wszystkich kuglarzy.

Zacznjemy po starszeństwie: Ta czterdziestopięcio letnia panna, wysoka, cienka, patrząca z pod oka, jest to siostra lorda Beauprey. Trudno było namówić ją aby wstąpiła na jacht; lecz chęć władzy nie pozwalała jéj zostawić swoję synowicę pod dozorem jednego tylko ojca. Wszystko ją przestrasza. Jeżeli siedzi w kajucie, ana pokład upada koniec liny, zrywa się i woła „Och!“ Jeżeli jest na górze zdaje się jej, że woda wciska się we wszystkie pory statku, i znowu krzyczy „Ach!“ Podług niéj zawsze jest cóś nie dobrze. Kłóci się ze wszystkiemi i wszystkim dokucza swém naśmiewaniem się i złośliwością; za to posiada najdelikatniejsze pojęcie o przyzwoitościach i czyni ofiarę z siebie

obowiązkom swego stanu. Jest to wysoko dostojna miss Ossulton.

Ta prześliczna dama, u któréj za każdym uśmiechem robią się dwa dołki na różowych jagodach, jest młoda wdowa, mistris Lascelles Z woli rodziców poszła za mąż za starca. Za ten wspaniałomyślny postępek, sprawiedliwe niebo nagrodziło ją rangą wdowy i ogromnym majątkiem. Poszedłszy pierwszy raz za mąż dla uczynienia zadość życzeniom swoich rodziców teraz ma zamiar zawrzeć związki dla spełnienia własnych,ale jest jeszcze bardzo młodą i nie zby się spieszy.

Ta młodziutka, z tkliwym wyrazem na twarzy dziewica,dostojna miss Cecylja Ossulton, żywa dowcipna lecz jeszcze prawie dziecię, nie ma jak, lat siedmnaście.

Takie jest towarzystwo lorda Beauprey; osada składa się z dziesięciu doskonałych majtków, bufetowego i kucharza; wzięci także na jacht lokajlorda, żokej mister Osultona i pokojowa wysoce dostojnéj miss Ossulton.

Jacht podniósł kotwicę, l rozwinął wszystkie żagle, obiad był na stole; świeże morskie powietrze dodawało apetytu całemu towarzystwu

i powszechna rozmowa zaczęła się zaraz po zdjęciu obrusa.

— Mister Saagrove, rzekł dostojny lord, pan o mało żeś się nie spóźnił do nas; czekałem pana jeszcze we Czwartek.

— Bardzo żałuję, milordzie, że niektóre interessa... nie dozwoliły mi korzystać wcześniéj z łaskawego zaproszenia.

— Przestań prawić dziecińswa, Seagrove; przerwał Hautaine; sameś mi wczoraj powiadał że jeszcze nie stawałeś w żadnéj sprawie.

— Tak; lecz teraz zdarzyło się to wcale nie przewidzianym sposobem. Chociaż ze mnie nie namiętny miłośnik procesów, jednakże... nie można powiedziéć...i mnie się zdarzało mieć dość ważne. Ponsonby brał mię z sobą do Fattersall, chcąc słyszéć zdanie moje o koniu, którego chciał kupić, a potém musiałem z nim jechać do Forest-Wild, aby mu dopomódz w sprawie z wujem.

— A więc to pana zatrzymało! rzekł lord. Mogęż się dowiedziéć czy przyjaciel pana wygrał swoją sprawę?

— Nie, milordzie, sprawę przegrał lecz za to wygrał żonę.

— Niechże się pan jasnie tłomaczy, rzekła młodziuchna miss Cecylja Ossulton, córka lorda.

— Rzecz jest taka; stary Ponsonby chce ożenić swego Willjama z miss Percival, której dziedzictwo graniczy z Forest-Wild, a zaś mój przyjaciel Willjam tyle ma ochoty do ożenienia się, ile ja mam upodobania w procesach i dla tego wujaszek mocno się rozgniewał.

— Lecz dla czegóżeś pan był wezwany? zapytała mistres Lascelles.

— Dla tego, miledy, że Ponsonby nigdy nie kupuje konia bez naradzenia się ze mną...

— Dotąd jednakże nic jeszcze nie rozumiem rzekła stara miss Ossulton, ściskając ramionami.

— Przepraszam, miledy; Rzecz się ma tak, ciągnął Seagrove, że ponieważ mnie się udaje hamować dzielność koni mego przyjaciela Willjama, chciał on więc żebym mu pomógł uhamować i gniew jego wuja. To wymagało szczególnéj zręczności, dla tego że staruszek nie

słuchał żadnych dowodów i chciał koniecznie ożenić siostrzeńca. Ledwośmy weszli, stary prosił mię abym zaczekał w innym pokoju, sam zaś został się z Williamem; szczęściem, mogłem słyszéć całą ich rozmowę.

— Na czémże się skończyło? zapytał lord.

— Ręczę panu, milordzie, że tę scenę można umieścić w pierwszéj lepszéj komedyi.

Powinienem uczyić uwagę, że przyrodzenie dało panu Seagrove wielkie komiczne zdolności: był doskonałym mimikiem i mógł zmieniać głos jak się podoba. Odpowiadając cokolwiek, zwyczajnie wyprowadzał na scenę działające osoby, każdego naśladował głos i postawę. Jeżeli mówił, że tę scenę można umieścić w komedyj to znaczyło, że chce aby go poproszono iżby ją odegrał. Tego się właśnie chwyciła miss Cecylja Ossulton.

Mister Seagrove natychmiast wziął się do rzeczy.

— Możnaby było, rzekł, nazwać tę komedją " Pięć tysięcy akrów w jednéj miedzy, czyli śliczna oblubienica. " (Nie będę opisywać gestów pana Seagrove, odpowiadały one

słowom) Tak, Willjamie! rzekł stary Posonby, zatrzymując się przed siostrzeńcem, z założonemi rękami: sumiennie mogę powiedzieć że to jest jeden z najlepszych majątków w całéj Anglji; pięć tysięcy akrów przecudnéj ziemi, o krok z mojém dziedzictwem...czy to żart!... Oba dwa majątki w jednéj miedzy. — Ośmielam się powiedzieć wujuszku, że to mię nie zachwyca. Dla tego że pan powziąłeś fantazję połączyć dwa dziedzictwa, chcesz pan i mnie zachwycić w jednę miedzę. — Ależ to mój przyjacielu, rzecz doskonała! — Co, wujaszku, wieś czy żona? — I jedno i drugie, mój miły: spodziewam się że nie zechcesz się sprzeciwiać!— E! jam wujaszku nie chciwy, twoich teraźniéjszych włości będzie dla mnie dosyć. Za pozwoleniem wujszka, zamiast podwajać majątek i podwajać się mnie samemu, czy nie lepiéjby było żebym został jedynym jego spadkobiercą? — Ale takich złotych zdarzeń, mój przyjacielu, trzeba czekać całe wiek. Jam całe moje życie o tém tylko myślał jakby połączyć te dwie wsie i jużem nawet zrobił plan przeobrażenia dworu mego sąsiada Perciwala. Dom ten zniesiemy a stare opactwo naprawiem.

odnowiem, i wtedy, mój przyjacielu, niechaj sam Xiąże Devonshire sprobuje się z nami w wspaniałości, obszerności i obfitości dziedzictwa. — Lecz ja, wujaszku, nigdy nie widziałem miss Emilji Percival! — Ah, taka tłusta, zdrowa, urodzajna gleba... na niéj się wszystko w piętnaścioro urodzi.— Trzeba jednak wprzód widzieć, jaką ona jest! — uprawiona mój przyjacielu, doskonale!... podług najnowszéj metody. — I przy tém czy się zgodzi, wujaszku?-- Trzeba tylko podzielić ją na części, każdą część osobno wydzierżawić...

I czegóż ty się śmiejesz? — Tego wujaszku, że pan, zdaje się, chcesz mię żywego ożenić z tłustą ziemią, a ja myślę po śmierci chyba połączyć się z taką oblubienicą. — W takim razie mój panie, muszę ci przypomnieć, że jeszcze mogę znaleść innych sukcesorow i trzeba mi tylko napisać do twego ciotecznego brata James, jeżeli się zgodzi na moją propozycją, zrobię go moim spadkobiercą. Pewny jestem że lepiéj od pana potrafi ocenić zalety majątków Percivala... Stary Ponsonby posunął się ku drzwiom. Zaczekaj wujaszku, zawołał Wil-

jam, zrywając się z krzesła, nie zupełnie się rozumiemy. Naturalnie, wolałbym posiadać sam tylko pański majątek i być wolnym, aniżeli mieć dwa i w dodatku miss Emilję Percival; lecz zawsze nie powiedziałem jeszcze że przekładam ubóstwo nad dwie prześliczne włoście i żonę w jednéj miedzy. Wiem że wujaszek lubi dotrzymać słowa; przyjmuję więc jego propozycję aby go uwolnić od kosztów pisania do mego kuzyna.

— No widzisz, Wiljamie, teraz zacząłeś mówić rozumnie! Niczego więcej nie żądam. Wiem także że ty lubisz być wiernym twoim przyrzeczeniom i będę uważał tę rzecz za skończoną. Dla tego tylko posyłałem po ciebie, teraz dź gdzie ci się podoba. Będziesz uwiadomionym gdy wszystko już będzie gotowe. — W Poniedziałek, wujaszku, muszę jechać do Fattersall dla kupienia konia: niech mi będzie wolno zapytać, wujaszku, kiedy mię, pan wezwiesz? — A, zaraz ci powiem: teraz Kwiecień; sądzę więc że około Lipca, —Około Lipca, wujaszku!...A dla Boga!...Mamże się żenić w czasie kanikuły, to byłby dowód szaleństwa. Nie,

prędzéj się utopię! — Jak chcesz!... w saméj rzeczy trochę gorąco...

No, to odłożymy do Października. — Do Października!... przecież w Październiku muszę być w Milton na polowaniu z psami. — Bądź łaskaw, mości panie, powiedz mi kiedy się skończą wasze myśliwskie zabawy? — Bardzo prędko wujaszku; lecz zdaje mi się czy nie najlepiéj byłoby odłożyć to do przyszłego Kwietnia. — Do przyszłego Kwietnia! Pięć tysięcy akrów najlepszéj ziemi, do przyszłego Kwietnia! A przecież to minie cała zima! No, a jeśli miss Emilja Persival zaziębi się i umrze?— Więc, wujaszku, przez ostrożność niech się ta rzecz ułoży przed pierwszym tęgim mrozem.— Oho! wszakżeśmy już lat kilka nie mieli tęgich mrozów. Przyszłoby czekać rok, dwa a może i więcéj! Nie, nie chcę! Bądź zdrów mój panie; dzisiaj piszę jeszczę do twego brata. — Wujaszku! co też pan mówisz, pan mi ubliżasz! Pan może sądzisz że ja się nie chcę ożenić z osobą przez niego dla mnie wybraną? O nie, pan mię widzę nie znasz. Nie lubię robić w połowie, przez szacunek dla pana, ożenię się w Lipcu bez względu na termometr! — O toś mi zuch!

Willjam, czy nie trzeba ci pieniędzy na kupienie konia? — Jakto nic trzeba. wujaszku!...proszę wierzyć że dotrzymam słowa... konie teraz wujaszku, bardzo drogie... W Lipcu będę zupełnie gotów do małżeństwa... Ach! com się ja natargował z temi przeklętemi chciwcami: nie chcą ustąpić ani grosza!... Sześćset funtów szterlingóm... — Sześćset funtów?

Czyś ty zwarjował! — W Lipcu wujaszku, w czasie kanikuły... — Sześćset funtów!... a to rozbój! — Każdego czasu, kiedy pan rozkażesz... jeśli tylko miss Emilja. — No już to moja rzecz! nie troszcz się o to. Miss Emilja... pan Bóg z tobą, oto bilet bankowy na tysiąc funtów; rozmień go w Londynie i odeślij mi resztę pocztą...Bądź zdrów, kłaniaj się twemu przyjacielowi Seagrove. — Takim sposobem postanowioném zostało małżeństwo dwóch majątków i połączenie Willjama Ponsonby z miss Emilją Perciral w jedną miedzę.

— Doskonale opowiedziano, mister Seagrove, rzekł lord: potém wszystkiém pan koniecznie powinieneś wypić ze mną kiliszek wina.

— Przyznam się, nie bardzo zazdroszczę

przyszłego saczęścia miss Emilji Percival, zarzuciła stara miss Ossulton.

— Z dwojga złego trzeba wybierać mniejsze, dodał Hautaine: biedny Ponsonby, cóż miał czynić...

— Żeby mi zrobiono podobną propozycją, rzekł Vaughan pewnobym się nie wachał w wyborze jak Ponsonby.

— W takim razie uważam się za bardzo szczęęśliwą, że nie jestem na miejscu miss Emilji Persival, rzekła uśmiechając się mistress Lasceles, dla tego że Vaughan bardzo się do niéj zalecał.

— Zdaje mi się, panie Vaughan, zrobił uwagę Seagrove, żeś pan troche sobie zaszkodził przez to zdanie w powszechnéj opinij.

Vaughan, który to samo myślał, odpowiedział: —Mistress Lusceles pewno jest przekonaną żem żartował.

— Dość, panie Vaughan, zawołała miss Cecylja Ossulton: wiem żeś to powiedział bardzo z szczerego serca.

— Zapominasz się, kochana Cecyljo, rzekła stara miss Ossulton. Co ty możesz wiedzieć o męzkiém sercu.

— Wszakże ciocia sama nie raz mówiła że mężczyzni są oszusci i że im nie trzeba wierzyć ani jednego słowa.

—Oho, Cecyljo, rzuczasz im wszystkim rękawiczkę, zawołał lord, lecz ja przeszkodzę walce; widzę panowie, nie pijecie wina; pojdziemy lepiéj na górę pić kawę.

— Chciały już odejść milordzie, dodała uszczypliwie stara miss Ossulton. Czekałam tylko póki mistris Lasceles na nas nie spojrzy, lecz ona...

— Patrzyłam, zdaje mi się, w inną stronę uśmiechając się przerwała wdowa.

— Ja to winien jestem temu, rzekł Seagrove opowiadałem bowiem pani Loscelles jednę anegdotę....

— Która zapewne nie powinna była być słyszaną przez całe towarzystwo, dla tego ją sam opowiadałeś półgłosem, zarzuciła stara złośnica.

Jeżeli mistriss Lasceles gotowa... kończyła zrywając się ze złością z krzesła.

— W każdym razie mogę dosłuchać na górze odpowiedziała wdówka.

Damy wstały i odeszły do swojéj kajuty

Cecylja i mistriss Lasceles zamieniły z sobą znaczące wejrzenia, idąc za starą miss Ossulton. Mężczyzni udali się na pokład.

— Piękny wietrzyk milordzie! rzekł Stoewart, który zostawał na pokładzie. Leciemy jak strzała.

— Tém lepiéj, odpowiedział lord.

— Należało nam już tydzień temu stać na kotwicy w Coves, wszyscy tam staną wprzód od nas.

Mister Ossulton zapalił sygaro; Stevatr poszedł na obiad; kawę podano, wiatr był pomyślny i pogoda stała się prawie ciepłą. Jacht któremu było imie „Strzała" przy pomocy rządu wkrótce zostawił Mewstone daleko za rudlem.

II.

DRUGI JACHT.

Byliście kiedy panowie w Portsmouth? Jeżeliście byli, to pewno zachwycaliście się widokiem baterji z któréj dają salwy, jeśliście zaś nie byli, życzę pojechać tam jak najprędzéj. Z baterji ujrzycie także jak w Plimouth, port, arse-

nały, doki, i część ogromnéj floty. Po drugiéj stronie portu ujrzycie Gosport, Salljoport, i wiele miejsc innych. Na lew éj ręce będzie Soulhsea Beach, przed wami Spithead z wojennemi, i Motherbank z kupieckiemi statkami; a tam daléj wyspę Wight i Ryde opierzoną lasem, i buchtę Cowes, gdzie jachty stają na kotwicach. Istotnie, w Portsmouth jest wiele ciekawych rzeczy; lecz teraz chcę tylko zwrócić uwagę waszą na niewielki statek, stojący przy saméj bateryi: jest to jacht, albo, jeśli się podoba, tender; z mnóstwa szalup, i z innych pozorów jużeście odgadli, że należy on do celnej straży i przeznaczony jest mianowicie do łapania smuglerów, którzy, jak czarci w piekle, uwijają się w kanale, i przewożą kontrabandę z Francji do Anglij i wzajemnie.

Podobny jest do statku handlującego szalupami. Proszę uważać że ten jacht pomalowany jest cały czarną a wiosłowe statki białą farbą, i że on wcale nie jest tak elegancki i piękny jak pierwszy: tu nie ma ani sieci ze zwierzyną ani zapachu zupy żółwiéj, ani szampana, ani burgońskiego. Za to w jednéj z siatek za ru-

dlem sterczy barania noga, a w innych znajduje się w główkach kapusta i mięsiwo, i dla zgłodniałego jest kość z kawałkiem mięsa, dobra szklanka grogu i uprzejme przyjęcie.

Wejdźmy na tender, Armaty spiżowe, pomalowane czarną farbą a borty i przegródki czerwoną; chociaż to nie bardzo ładnie i trochę nie schludnie, ale dogodnie i trwale. Na statku liczna koménda, a wszystko zuchy, w ponsowych flanelowych koszulach i niebieskich szarawarach, nie którzy w konopianych wysmolonych kaftanach, bardzo użytecznych w czas słotny, kiedy wypadnie siedzieć w szalupach dniem i nocą. Nie zatrzymując się nigdzie, spuśćmy się prosto do kajuty, i oddajmy pokłon porucznikowi dowodzącemu statkiem, tudzież sternikowi i midshiponowi: przed każdym z nich stoi szklanka gorącego grogu z ognistym ramem i cukrem. Rum ten czerpią oni z wielkiego ankierka stojącego pod stołem; jakoś zapomnieli go oddać komorze razem z kontrabandą przejętą przy ostatniém schwytaniu jednego smuglera.

Niech mi wolno będzie przedstawić ich państwu z porządku.

Pierwszy, jest to porucznik Applebov, nie elegant, cóż robić, człowiek w wieku, z siwemi włosami i rudemi faworytami, twarzą okrągłą i bladą, i czerwonym nosem, ale mogę państwu zaręczyć pije doskonale, a bije się jeszcze lepiej. Służył na statkach wszelkiego rodzaju i pełnił powinność pierwszego porucznika przez lat dwadzieścia; teraz prześladując kontrabandy, złapał znaczną liczbę beczułek rumu i czeka sobie awansu. Szkoda że do stanu służby nie wciąga się i ten rum którzy gorliwi urzędnicy wypijają, bo w takim razie dawno już otrzymałby stopień kapitana. Teraz napełnia czternastą szklankę grogu; przywykły do regularnego życia, prowadzi najściślejszy ich rachunek, i nigdy nie przestępuje założonéj liczby siedemnastu: wtenczas to dopiero go ukołysa, i nasz porucznik udaje się na spoczynek.

Ten drugi, pomocnik sternika, zowie się Tomkins. Trzy razy wysłużył swoje sześć lat, i już zaprzestał karmić swoje ambitne nadzieje: i bardzo rozumnie zrobił, nie jemu to być kiedykolwiek kapitanem pierwszego stopnia.

Przekłada mały statek nad wielki, dla tego że tu się nie wymaga zbytniéj wytworności w ubiorze, i oczekuje stopnia porucznika przy okoliczności jakiéj nadzwyczajnéj uroczystości krajowéj. Mister Tomkins bardzo lubię miękki chleb, od czasu jak wszystkie jego zęby wzięły dymisją i nad wszystkie napoje w świecie przenosi porter; jakkolwiek bądź, nie jest dalekim i od szklanki grogu, z rumem czy z koniakiem, czy z innym spirytusowym wyciągiem.

To znowu, mister Smith! Przepraszam że ma łokcie wydaιte, ale już całe dwa miesiące zbiera się naprawić swoją kurtkę, tylko nie chce mu się dostać nową z mantelzaka. Tego młodzieńca wypędzono z większéj liczby pokładów angielskiéj floty, za lenistwo; Takim się już on urodził! to nie jego wina! Mister Smith uważa celny tender za najprzyzwoitszy dla siebie statek; tu przy najmniéj dwie trzecie części ziemskiego bytu można stać w porcie; z resztą nie wymawia się on od przejażdżki w szalupie dla opisywania skonfiskowanych statków, tam siedzi sobie u rudla; to go nie utrudza. Łazić po beczkach z mocnemi napojami na kuterze schwytanym z kontrabandą, jego najmilsza zabawa. Lubi bardzo grog, ale się

leni często podnosić szklankę do ust, pogląda więc tylko na nią i zostawia w pokoju. Mister Smith mało mówi, bo także się leni rozmawiać. Służy jako midshipmann już lat ośm i gardzi wszelkiemi awansami i przywiązanemi do nich examinami: podobne ideje są niegodne jego.

Takie są osoby, siedzące przy grogu w kajucie jachtu celnego.

— Zaczekajcież, pozwólcie przypomnieć! Było to, zdaje mi się, w dziewięćdziesiąt trzecim albo w dziewięćdziesiąt czwartym roku: nie byłeś jeszcze wtedy w służbie, Tomkinsie.

— Istotnie, nie pamiętam; tyle czasu minęło, jak się włóczę po morzu, że w rzeczy saméj trudno pamiętać datę. Ale oto co wiem z pewnością: to się zdarzyło na *trzy* dni przed śmiercią mojéj ciotki...

— A kiedyż ona umarła?

— W rok prawie po śmierci mego wuja.

— A kiedyż twój wuj umarł?

— Tego to już ja nie wiem.

— Otóż widzisz, Tomkinsie, że nie masz pewnego punktu, od którego mógłbyś prowadzić swoją chronologję; z resztą jużeś mógł wtenczas być w służbie.

Wtenczas nie tak bardzo wymagali czystości odzienia jak teraz.

—W takim razie, służba ówczesna była daleko znośniejszą od obecnéj.

Teraz na waszych eleganckich fregatach, biedne życie naszemu bratu podsternikowi; tego się tylko ciągle spodziewaj że cię posadzą pod areszt za brudną kurtkę. Chciałbym wiedzieć coby powiedział na przykład kapitan Prigg, gdyby ujrzał na swoim pokładzie takiego oberwańca jak Smith?

Smith spojrzał na jeden swój łokieć, po tém na drugi i milczał jak dawniéj.

— Gdzież to wtedy służyłem? No, to było w dziewięćdziesiąt trzecim czy dziewięćdziesiąt czwartym roku. Tomkins, nalejże swoją szklankę i daj mi cukru... A na któréj ja stanąłem?— A! to piętnasta szklanka, rzekł Appleboy, licząc białe kréski na stole; potém wziął kredę i napisał jeszcze jedną. — Ten ankierek nie tak dobry, Tomkinsie: spojrzyj no jaki słaby kolor...

A główna rzecz że już się mało zostaje. Może szczęśliwsi będziemy w następnéj wy-

prawie. Apropos, Tomkins, jutro podniesiemy kotwicę.

— Myślałem że porucznik o tém zapomniał.

— Nie! jestem regularny jak zegarek! Przesłużywszy dwadzieścia pięć lat pierwszym porucznikiem, można, zdaje mi się, przywyknąć do porządnego życia; lubię ja porządek i lubię także żeby i inni postępowali ze mną rzetelnie. Wiesz, Tomkinsie, że admirał, po każdém mojém przybyciu do portu, zapraszał mię do siebie na obiad: teraz nie dopełnił tego, i każe podnosić kotwicę!...

— A to nie godnie z jego strony! tém bardziéj że u niego codzień obiaduje dużo gości...

— I ja w czasie ostatniego krążenia, schwytałem trzy statki, i jeszcze odkryłem trzydzieści siedm ankierków rumu!

— Ja to je odkryłem, odezwał się Smith.

To wszystko jedno. Jak posłużysz dłużéj, obaczysz, że cała zasługa liczy się na samego dowódzcę. Jeszcze jesteś midhipmanem: gdzie tobie rozumiéć te rzeczy! Ale, na czém ja sta-

nąłem?... Było to w dziewięćdziesiątym trzecim, albo w dziewięćdziesiąt czwartym roku, jakem już powiedział: byłem wtenczas na flocie, która krążyła w kanale... Tomkins, czy nie masz gorącéj wody?... ta już zupełnie wystygła, Mister Smith, bądź łaskaw zadzwoń. Jem, przynieś gorącéj wody.

— Za pozwoleniem pana, rzekł bosonogi Jem kucharz wywrócił kocioł z wrzącą wodą. Lecz nastawił drugi.

— Wywrócił kocioł? Ah, łotr! Dobrze, pomówiemy o tém jutro. Mister Tomkins proszę nie zapominać zamieścić to w pańskim porannym raporcie: mógłbym zapomnieć... A czy dawno nastawił drugi kocioł?

— W téj chwili, panie.

— Dobrze, rozważymy to jutro. Przyniesiesz kocioł, jak tylko będzie gotów. Ale słuchaj, Jem, czy trzeźwy ten nic dobrego?

— A jakże, panie! On tak trzeźwy jak pan sam.

— To dziwna, jaką skłonność do pijaństwa mają nasi prości majtkowie! Służę lat czterdzieści, i dotąd nie spostrzegam

żadnéj odmiany: a to łotry!... No, kiedy nie ma gorącéj wody, cóż robić, trzeba użyć ciepłej: Do licha, ktoby to pomyślał, już szesnasta, szklanka! Policzę raz jeszcze.... tak! — Ale nie, to musiała być omyłka, ciągnął Appleboj, rzucając z nieukontentowaniem kredę; jeszcze jedną tylko szklankę... to jest, jeżeli mój rachunek dobry... Może mi się zdawało...

— Może, rzekł Smith.

— No, cóż czynić. A tymczasem muszę wam dopowiedzieć moją historję: było to, jakem już powiedział, w dziewięćdziesiątym trzecim, czy w dziewięćdziesiątym czwartym roku;byliśmy w okolicy Forbaj...

— Oto gorąca woda, zawołał Jem stawiając kocioł na podłogę.

— Dobrze. A czy przywieźli faskę z masłem?

— Przywieźli, panie, ale rozbita na samym środku; ledwom jakkolwiek zatknął dziury.

— Któż to mości panie, rozbił ją?

— Może Bill Jones, bo on bardzo lubi masło. I w fasce mało co się zostało.

— Dobrze, pomówiemy o tém jutro Mister

Tomkins, zapisz, bądź łaskaw, w porannym raporcie o rozbitéj fasce masła... łatwo mógłbym zapomnieć. Ale to nic. To się więc zdarzyło, jakem powiedział, w dziewięćdziesiąt trzecim, czy w dziewiędziesiąt czwartym roku, kiedy byłem na flocie, która wówczas krążyła w kanale. Byliśmy około Torby... z resztą poczekajcie; wprzód nim będę kończył, trzeba wypić ostatnią szklankę... Zdaje się, ostatnią! zaraz policzę. Tak, do licha! już szesnaście; lecz za to ostatnia szklanka powinna być tęższą. Jem podaj kociołek, uważaj żebyś nie nalał mi w buty jak przeszłego razu... Dobrze. No Tomknis, Smith, napełniajcie szklanki, wypijemy razem i wtedy usłyszycie koniec mojéj historje, a djabelnie ciekawa! Sambym nie uwierzył, żebym nie był świadkiem... God dem! co u licha?... co się stało z grogiem?... Mister Tomkins!

Tomkins skosztował; lecz dla tychże przyczyn co Appelboy, nie mógł gruntownie zasadzać się na swoim smaku:

Coś zapach nie dobry.

— Smith, zobacz no co to znaczy?

Smith, z trudnością podniósł szklankę do ust i nakoniec przemówił:

— Słona woda...

— Słona woda?... A tak,, God dem... zawołał Appleboy.

— Czysta sól, jak żona Lota, zawołał jego pomocnik.

— Słonka woda, panie? zawołał Jem w przerażeniu, pewnym będąc słonéj wieczerzy.

— Aha! odpowiedział Appleboy, wylewając mu na twarz wszystko, co było w szklance, słona woda, woda słona.

— A cóż ja winien, panie, odrzekł Jem krzywiąc się.

— Jakto co winien?... A któż powiedział, że kucharz trzeźwy?

— A kiedy on udaje trzeźwego, panie.

— Dobrze, dobrze; mister Tomkins, w przypadku, jeżeli zapomnę, bądź łaskaw, umieść w porannym raporcie o kotle ze słoną wodą. Łotr! naruszył porządek służby, regularność mego życia, zostawił mię tylko z szesnastu szklankami... ale my to rozpatrzymy jutro szczegółowo; nie darmo byłem pierwszym porucz-

nikiem lat dwadzieścia; ja go zmuszę wypić cały kocioł grogu ze słonéj wody, i basta. Dobranoc, panowie. — I uważać dobrze na dół... dodał surowym głosem: słyszysz, panie Smith?. Ten nieporządek zdarzył się w czasie twojéj straży.

— Słyszę poruczniku, mruknął Smith. Lecz moja straż już minęła.

— W takim razie pan przestoisz na pokładzie i następną straż, rzekł Appleboy, który był w bardzo w złym humorze. Mister Tomkins, proszę mię uwiadomić jak tylko rozświta. Boj przygotuj łóżko... morskiéj wody mi podali w grogu, łotry!... No dobrze, pomyślemy o tém jutro.

Appleboy poszedł spać, Tomkins i Smith także udali się każdy do swojéj kajuty: Smithowi wcale się nie chciało stać następną straż za to że kucharz był pijany i zagotował gorszką wodę. Co się zaś tyczy historji wydarzonéj w dziewięćdziesiątym czwartym czy dziewięćdziesiąt piątym roku, opowiedziałbym ją moim czytelnikmo jeślibym umiał; lecz się obawiam że ta ciekawa historja wcale nie dojdzie do potomności.

Następnego poranku, Tomknis jak zwykle, zapomniał donieść swemu naczelnikowi o kucharzu, o fasie masła i o kotle słonéj wody; a Appleboy przypomniał to sobie aż dnia trzeciego, kiedy jego gniew już się zupełnie uspokoił. o świcie porucznik wyszedł na pokład przecierając szare swoje oczy i starając się przeniknąć wzrokiem mgłę poranną. Swieży rzeźwiący wietrzyk rozwiewał jego siwe włosy i chłodził nos pałający.

Tender ze straży celnéj, któremu było imie " Zręczny,, podniosł kotwicę i z przyjaznym wiatrem skierował swój bieg ku ciaśninie.

III.

TRZECI JACHT.

Czyście byli kiedy w St* Malo? Jeżeliście tam byli, to bardzo winszuję, a jeśli tam jeszcze będziecie, to radzę jak najprędzej wybierać się z téj przeklętéj jamy. Kara Boża być w jakimkolwiek francuzkim porcie, żaden nie wart tego trudu. Prawda, zrobili oni jeden czy dwa sztuczne porty, lecz i tu nic nie ma godnego ludzkich oczu. Ani wchodzić ani wycho-

dzić nie można każdego czasu w żaden port francuzki. To co Francuzi nazywają portami, są to tylko nędzne, ciasne jamy, dokąd się dostać można tylko przy pewnym wietrze i z pomocą prądu; jamy otoczone stosami, nieczystości szynkami i przekupkami, przydatne tylko dla jednych smuglerów.

Mizerny kątek nazwany przez Francuzów „pięknym portem St Maloma jednak dość przyjemne okolice, lecz dla marynarza wcale tu niema na co patrzéć! Czyliż to pan Bóg stworzył taką stronę gdzie poczciwemu żeglarzowi dają do picia kwaśny atrament nazwany „winem Bordo“ i do jedzenia jakąś potrawkę do tego stopnia zamaskowaną przyprawami, sosami i innemi wymysłami kuchni, że w żaden sposób nie odróżnisz, do jakiego rodzaju ptaków, ryb lub czworożnych, należy to, czém napychasz twój żołądek! We Francji, wyjąwszy Paryż zjadają wszystko, rozumie się zawsze pod pysznemi nazwaniami, i jeśli się podoba dadzą ci głowę zdechłéj małpy, nazwawszy to Tete d‘ amour a l‘ Ethiopienne. Co do wina dają ci je bez ceremonji tak dobre jak ocet.

więc Darmo mówią, że życie we Francji jest tańsze

jak na wyspach wielkiéj Brytańji; jest onotań sze tylko pod tym względem, że tam nie można dostać ani połowy tych przedmiotów wygody i zbytku, których odmówić sobie niezdołano w Anglji; lecz sprobujcie żyć we Francji tak jak się żyje w angielskiém mieście, jeść tak zdrowe i doskonałe pokarmy jak w Anglji, pić przednie wina dojrzałe pod południowém słońcem, a przekonacie się że to będzie daleko drożéj kosztować. Radzę wam si.dzieć lepiéj w domu. Ziemia na któréj nie ma żadnéj porządnéj traktjerni, nie warta żeby po niéj podróżować.

Nie wspomiałbym nawet o St Malo, gdybym nie z wrócił szczególnéj waszéj uwagi, na nie wielki statek stoiący przy saméj przystani, z któréj rzucona jest na niego de ska zamiast schodków. Woda bardzo mała: statek stoi na mieliznie i deska tak stromo nań się spuszcza że człowiek nie przywykły, nie może bez niebezpieczeństwa wchodzić i schodzić po niéj. Jest to znowu jacht, rodzaj tenderu: z pierwszego wejrzenia nie ujrzycie na nim nic szczególnego; lecz dzielnie on manewruje pod czas silnego wiatru i burzy, i dzielnie pływa z przyjaznym wiatrem. Wstosunku długości zdaje się on bardzo szerokim, lecz za

to przód i rudel bardzo są zaostrzone; armat na nim nie ma: dla smuglerów jest to rzecz niebezpieczna; biorą oni to przez zręczność, czego by siłą wziąć nie mogli. Żeby zostać smuglerem, trzeba być dzielnym marynarzem, niezmiernie zręcznym i przytomnym: bez tych przymiotów niezawodnie wpadniesz w łapy celników. Statek, o którym mówię, ma nie wielki, lecz cenny ładunek. Kilka tysięcy gardów koronek, kilkaset funtów herbaty i ze czterdzieści ankierków prawdziwego holenderskiego dżinu. Smuglery czekają tylko silnego wiatru lub ciemnéj mgły, żeby podnieść kotwicę.

Na statku znajduje się jeden tylko chłopiec okrętowy: reszta poszła do szynku kończyć maleńkie swoje rachunki. Jest ich tam piętnastu, przystojnych, dzielnych, odważnych zuchów; siedzą około stołu. Są nadzwyczajnie weseli, lecz zupełnie trzeźwi: w nocy mają wyjść na morze.

Kapitanem jachtu, którego imie " Dziecię szczęścia,, jest ten przystojny, urodziwy mężczyzna, z czarnemi faworytami, które się łączą u niego na samém gardle. Nazywa się Jack

Pickersgill. Z pierwszego spojrzenia powierzchowność jego kazała go uważać wyższym nad pospolitego kontrabandystę; jego sposób obejścia się jest ujmujący; jest to prawie *dandy* w swoim rodzaju. Spojrzyjcie jak grzecznie zdejmuje czapkę przed tym Francuzem, z którym tylko co skończył rachunki. A jednak w jego spojrzeniu widać przywyknienie do rozkazywania i wewnętrzne uczucie wyższości nad wszystkiém co go otacza. Spojrzyjcie, jak on mierzy spojrzeniem oberżystę z wysokości swojego stanu, chociaż przy tém jest bardzo grzeczny! Przyczyną tego jest że Pickersgill pochodzi ze znakomitéj familji i jest wzorowo wychowany: lecz był sierotą; kuzyni jego byli bogaci i nic dla niego nie chcieli uczynić; jego przyjaciele byli biedni i nie mogli mu dopomódz; Jack udał się do Indji jako midshipman na wielkim wschodnio-indyjskim okręcie, uciekł z niego i płynął na statku, który woził przemycane opjum do Chin: nakoniec powrócił do ojczyzny. Rzemiosło kontrabandysty podobało się jego przedsiebierczemu charakterowi; i teraz zebrawszy nie wielki kapitał, sprawił so-

bie własny statek i zamierza udać się znowu do Indji. Zawiozłszy do Chin ze dwa ładunki opium, powroci do domu z pięknemi pieniędzmi i przyjmie prawdziwe swoje nazwisko. Oto są widoki Pickersgilla, a ponieważ ma zamiar żyć kiedyś jak człowiek porządny, więc nie żuje tytoniu i nie używa mocnych napojów; ręce ma zawsze czyste i ozdobione pierścieniami;zażywa tabakę nie inaczéj jak ze złotéj tabakierki. Pomimo to wszystko,znają go ludzie jako jednego z najodważniejszych i najzręczniejszych marynarzy, jacy kiedykolwiek chodzili po pokładzie. Pickersgill jest bardzo wesołym, dowcipnym i umie dobrze wyliczyć swoje korzyści; koronki należą do niego; i jeżeli po drodze do Chin, dostawi je do jednego magazynu strojów w Londynie, to może zapewnić sobię kilka tysięcy funtów szterlingów.

Ten, nie wysoki, przyjemnéj powierzchowności młodzieniec, jest pomocnikiem kapitana. Zgrabny jak małpa, zmyślny, i nigdy nie traci przytomności w najtrudniéjszém położeniu. Zawsze sztucznie się z niego wykręci, a to ważny przymiot dla pomocnika kapitan kontrabadystów. Nazywa się Corbett zawsze wesół; pół-mary-

nasz pół-kupiec, znawszystkie języki i wszystkie jarmarki, pływa po morzu i w Londynie robi swoje interessa nie gorzéj od najzręczniejszego kupczyka; żyje dla obecności i z przyszłości się śmieje.

Oto idzie jeszcze maleńki, na wskróś przesiąkły spirytusem staruszek, z długiemi siwemi włosami, tłustą twarzą, i nosem, podobnym do znaku zapytania. Możnaby go nazwać panem statku. Zjeżdża on niekiedy na ziemię we Francji, lecz, przy angielskich brzegach, żadną siłą nie zwabisz go od jachtu. Kiedy mu powierzono ładunek, od téj chwili, jakby przykuty do pokładu, i już nie zważając na żadne szturmy, mgły i prądy stawi się w naznaczone miejsce. Wszyscy celnicy znają dobrze Morissona, lecz nie śmieją na niego napadać, bo pewnoby ich zaprowadził w jakiekolwiek zgubne miejsce. Zna każdy przylądek, zatokę, każdy kątek, każdą szczelinę obudwu brzegów, i prócz tego zbadał wszystkie prądy i najmniéjsze ich zmiany w całym kanale. Tacy są bohaterowie jachtu.

— Z tego wszystkiego widać, że Jack Pickersgill ma wyśmienitych pomocników w Corbecie

i Morissonie; inni jego ludzie, biegli żeglarze, lud zręczny, czynny i posłuszny.

— Teraz przyjaciele możecie jeszcze wziąść sobie jednę kwartę wina, i niech to będzie ostatnia; woda mocno przybiera i wkrótce podniesiemy kotwicę.

— Przy tém grzech tracić wiatr przyjazny.

— Jak sądzisz, Morissonie, czy będzie mgła?

— Tylko com się wpatrzył w horyzont, kapitanie, i jeśli się wiatr nie zmieni, odpowiadam głową, że za trzy godziny doskonała mgła się zaciągnie.

— Toby nie szkodziło. Corbett, czyś skończył z Duwalem?

— Tak, ależ lubi się targować i koniecznie żąda zniżenia ceny.

— Bóg z nim, rzekł Pickersgill. Żaneto, podaj mi butelkę Wolneju z jedenastego roku, i trzy szklanki.

Żaneta, milutka szynkareczka, wkrótce stawiła się z winem, którego oprócz kapitana, rzadko kto żądał.

— Pan odpływasz dzisiejszéj nocy? rzekła stawiając przed nim butelkę.

Pickersgill kiwnął głową.

— Dziwny sen miałam, mowiła daléj, sniło mi się żeście wszyscy wzięci byli przez celną straż, i zamknięci w więzieniu, przyszłam was obaczyć i nie poznałam żadnego, wszyscy byliście tak zmienieni!

— Nic dziwnego, Żaneto tyś nie pierwsza z tych, którzy nie poznają swych przyjaciół w nieszczęściu.

—Mais mon dieu, je ne suis pas comme cela, moi!

— Zapewne nie, Zaneto, tyś tak miła dziewczyna, i ja się z tobą niezawodnie ożenię... un de ces beaux jours, rzekł Corbett.

— Il sera bien beau, ce jour la, par exemple, odrzekła śmiejąc się Żaneta. Już trzeci rok jak pan obiecujesz ze mną się ożenić, każdego roku jak tu bywasz.

— I cóż, więc to dowodzi że jestem stały.

— Tak, ale ta sprawa wcale nie postępuje.

— On mi jest potrzebny, Żaneto, nie mogę teraz bez niego się obejść, rzekł kapitan. Ale poczekaj jeszcze trochę... to się ułoży, a tymczasem, oto masz pięć franków w dodatku do twojéj petite fortune.

— Merci bien, monsieur le capitaine! Żaneta

wychodząc, pogroziła palcem Corbetowi i dodała z uśmiechem. Méchant!

— No, Morissonie, pomóż nam prędzej wypróżnić tę butelkę i potem wszyscy razem udamy się na pokład.

— Po co ta dziewczyna przychodzi tutaj ze swemi niedorzecznemi snami? rzekł Morisson, siadając obok Corbeta; nie lubię tego. Kiedy opowiadała że widziała nas w pazurach psów celnych, patrzyłem w okno na dwóch gołębi, białego i siwego, i mówiłam sobie. Jeżeli siwy wprzód się zerwie, będę w kozie w tym jeszcze tygodniu, jeśli zaś biały, bezpiecznie powrócę tutaj...

— I cóż? zapytał śmiejąc się Pikersgill.

— Źle wypadło! przeklęty siwy gołąb pierwszy zleciał, odpowiedział Moriszon, popijając ze swojéj szklanki, i stawiając ją na stół z głębokiém westchnieniem.

— No Morrisonie, musisz mieć serce zajęcze, jeżeliś się przeląkł siwego gołębia, rzekł Corbet patrząc z uśmiechem w okno. Oto on się wrócił i znowu siedzi obok białego.

— Pierwszy raz w życiu słyszę taki przycinek! zawołał Morrisson zaczerwieniony gniewem.

I nie zasługujesz na niego, zaprzeczył Pickersgill. Wszakże Corbet tylko żartował.

— Teraz ja sprobuję szczęścia; obaczymy, czy bedę w kozie: moim złym wieszczem niech będzie także siwy gołąbek, jak był dla ciebie, Morrisonie.

Pickersgill i wszyscy majtkowie wstali i podeszli do okna, żeby widzieć wróżbę Corbeta. Siwy gołąb machnął skrzydłami i przysunął się do białego; biały się zerwał i usiadł na sąsiednim dachu. "Brawo, biały gołąbku!„ zawołał Corbet: to znaczy że za tydzień tu powrócę. " Wszyscy, śmiejąc się zajęli swoje miejsca i nawet Morrissona twarz się wyjaśniła. Wziął szklankę nalaną przez Pickersgill i rzekł z uśmiechem:

— Twoje zdrowie, Corbecie; wszystko to było bajką, bo ja bez ciebie nie mogę się dostać do kozy. Wszyscy pływamy na jednym statku; a kiedy zostawiacie mnie samego, wtenczas zabieracie z sobą wszystko, co tylko się znajduje, i nikt nie ma prawa mię przytrzymywać. Za dobry skutek naszych zamiarów!

— Wychylmy wszyscy ten toast, przyjaciele,

a potem daléj na statek, rzekł kapitan. Za zdrowie naszego jachtu.

Pickersgill i wszyscy obecni wstali, wypili swoje szklanki, postawili je dnami do góry na stole i prędkiemi krokami poszli ku portowi. Za pół godziny jacht *Dziecię szczęścia* wypłynął z portu St Malo.

III.

PORTLAND-BILL.

Statek kontrabandystów podniósł kotwicę z St Malo przy przyjaznym wietrze, dniem przed wypłynieniem, *Strzały* z Barnpol. *Zręczny* wyszedł z Portsmuth dniem później.

Jacht *Strzała*, jak już powiedzieliśmy, szedł do Coves do wyspy Wight. *Zręczny* powinien był

krążyć około Portsmuth i spuścił się do Westbay, z drugiéj strony Portland Billu, dokąd płynął i smugler z swoją kontrabandą.

Wiatr wiał lekko i podług wszytkich oznak można się było spodziewać jasnéj pogody, kiedy Dziecię szczęścia o dziesiątéj wieczorem ujrzał Portlandzką latarnię.

O jedenastéj portlandzka latarnia postrzeżoną została i przez jacht celny. Porucznik Appleboy wyszedł na pokład, spojrzał na światło i znowu wrócił do kajuty, dopijać naznaczone siedemnaście szklanek. O północy jacht *Strzała* także postrzegł latarnię i płynął daléj zaledwie przemagając prądy.

Nastąpił ranek, horyzont był pogodny. Lepiéj od wszystkich patrzyli przed siebie bez wątpienia smuglery, oni i wrogi ich znajdujący się na celnym jachcie, czujném okiem badali morze; jacht *Strzała* zostawał neutralnym.

— Widać dwa jachty, kapitanie, rzekł Corbet będący na straży, gdy tymczasem Pickersgill przepędziwszy noc całą na pokładzie, rzucił się na łóżko, żeby trochę odetchnąć!

— Któż oni są? zapytał się Pickersgill, zrywając się w mgnieniu oka.

— Jeden, prywatny, drugi zdaje się ile mogę dostrzedz w tak chmurną pogodę, uzbrojony jest wkształcie tenderu, i nie kto innyjak nasz stary przyjaciel.

— Jakto! stary djabeł Appleboy?

— Tak, podobny do niego; lecz jeszcze się nie rozwidniło nie można rozpoznać!

— Dobrze, przy tak małym wietrze nic on nie dokaże; jesteśmy na wietrze i zdołamy pokazać mu podeszwy. Ale czyś pewny że drugi statek jest przywatnym jachtem?

— Tak, żagle prześliczne, nie skarbowe.

— Masz słuszność rzekł Pickersgill. Jest to prywatny jacht, służący dla rozrywki. I co do drugiego zgadłeś także, drugi jest tender i istotnie stary pełzacz *Zręczny*. Ten głupiec idzie do nas po dżyn: pewno już mu go do picia zabrakło. Nie ma dotąd żadnego niebezpieczeństwa, Corbecie, chybaby morska cisza nastała: wtenczas przyjdzie naszym towarom ratować się na szalupie, skoro tylko Appleboy swoje zacznie spuszczać. Teraz jesteśmy przecie od niego o cztery mile. Uważaj dobrze jego poruszenia, i jeśli zamyśli spuszczać wiosłowe

statki, uwiadom mię natychmiast. Jak prędko płynie w téj chwili.

— Z całych sił, zdaje mi się.—Brawo!

Położenie trzech jachtów było następujące: „Dziecię szczęścia“ znajdował się około czterech mil od przylądka Portland, w zatoce West-bay, celny tender był przy samym przylądku, a jacht lorda zewnątrz zatoki, o mil dwie od smuglera; a pięć lub sześć mil od Zręcznego.

— Widać dwa statki, rzekł Smith zchodząc do kajuty Appleboja.

— Dobrze, odpowiedział porucznik, przewracając się na drugi bok w łóżku.

Powiadają że jeden z nich jest to „Dziecię szczęścia„ dodał Smith,

— Co, co, “ Dziecię szczęścia?.....“ No, ja znam go przecież. Ze dwadzieścia już razy rewidowałem go, i zawszem znajdował bez ładunku. Jak on leży?

— Na zachód; jednak powiadają, że leżał wyżéj, kiedy go pierwszy raz postrzeżono.

— A więc jest ładowny.

Mister Appleboy ogolił się, ubrał i wyszedł na pokład.

— Tak, rzekł porucznik, przecierając zaspane oczy, żeby lepiéj widzieć; przeklęcie, to " Dziecię szczęścia,, Wszyscy na pokład!

— Rozpuścić żagle! A tam kto jeszcze?

— Nie wiem; zdaje się tender.

— Tender?... tak; być może; to widać drugi celny jacht krążący tutaj. Mister Tomkins, proszę rozwinąć wszystkie żagle, podjąć banderę i palić z armaty; żeby zwrócić uwagę drugiego jachtu, jemu " Dziecię szczęścia" niejest tak dobrze znanym jak nam.

Za kilka minut *Zręczny* szedł pod wszystkiemi żaglami. Rozwinął swoją celną flagę i wypalił z armaty. Smugler widząc się poznanym, także rozpuścił wszystkie żagle i płynął swoją drogą.

— Wystrzelono z armaty, panie, doniósł jeden z ekwipażu *Strzały* panu Stewartowi.

— Słyszę; dajno mi lunetę... celny tender: to znaczy, że tamten musi być smuglerem.

— Tylko co podniósł wszystkie żagle,

— Tak, to smugler, bez żadnéj wątpliwości trzeba donieść milordowi... Nie tracić go z oczu!

Mister Stewart doniósł lordowi Beauprey o tém zdarzeniu. Lord i wszyscy mężczyzni wyszli na pokład: w krótce potém przybyły i damy, którym gospodarz udzielił tę nowinę przez drzwi kajuty.

Smugler lżéj szedł niż celny tender i szybko się oddalał.

— Czy nie rozkażesz zawrócić, milordzie, zapytał mister Stewart: mamy go przed nosem i wtedy będzie między nami i brzegiem i już się nie wyśli źnie.

— Zawracaj, kochany Stewarcie, rzekł lord; naszą powinnością jest wspierać wykonanie prawa.

— To nie pięknie, ze strony papy, rzekła miss Cecylja. Dla czego papa chce krzywdzić tych dobrych smuglerów? oni przywożą koronki, blondyny, wstążki, rękawiczki, i tyle miluchnych rzeczy z Paryża.

— Miss Cecyljo, przerwała jéj ciotka, jesteś jeszcze bardzo młoda i nie powinnaś dawać rad swoich.

Jacht zwrócił się i przy swéj nadzwyczajnéj lekkości, odebrał smuglerowi ostatnią nadzieję

ujścia; ale dopędzić, a wziąć, to wcale co innego.

— Wypalcie do nich z armaty, rzekł lord, to ich przestraszy i pewno nie odważą się przejść nam przed nosem.

Armatę nabito i wystrzelono; lecz pomimo to jacht lorda znajdował się więcéj jak na milę odległości, kula upadła o trzy ćwierci mil od "Dziecka szczęścia."

Lord i goście jego byli uniesieni chęcią pogoni, lecz wiatr zaczął się zmieniać i nakoniec ucichł zupełnie.

Tender celny spuścił swoje wiosłowe statki, które się szybko zbliżały ku smuglerowi.

— Spuścić szalupę, mister Stewart; trzeba pomódz straży; teraz zupełna cisza.

— Szalupę spuszczono; sześciu wioślarzy wskoczyło do niéj, a za niemi wsiadł Stewart i lord Beauprey.

— Czy panowie nie biorą broni?, zapytał Hautaine.

— Teraz smuglery się nie opierają, odpowiedział Stewart.

— W takim razie idziecie panowie na bardzo śmiałą wyprawę, rzekła miss Cecylja. Życzę panom przyjemnéj zabawy.

Lord w uniesieniu nie dosłyszał téj uwagi, wszyscy popłynęli ku smuglerowi.

W tymże czasie szalupy celnego statku były o pięć mil od statku smuglerskiego, a jacht lorda o trzy ćwierci mili, przy samém wnijściu do zatoki. Pickersgill, rozumie, się śledził wszystkie poruszenia jachtu: widział jak wystrzelono z armaty, jak podjęto flagę, i udano się w pogoń za nim.

— No, dobrze, rzekł. Jest to najczarniejszą niewdzięcznością, być prześladowanym przez tych dla kogo się pracuje. Lecz przypłacą mi za to; niech no tylko bliżéj przypłyną; a jednak nie lubię takich awantur.

Szalupy celne wiosłowały wszystkiemi siłami. Pickersgill patrzył na nie z uwagą.

— Cóż teraz czynić? zapytał Corbet. Czyliż nie należałoby i nam spuścić naszą czwórkę?

— Tak, odpowiedział Pickersgill, trzeba spuścić, i naładować wszystkiém co tylko godne téj pracy; naprzód, jesteśmy w stanie silniéj od nich wiosłować; a powtóre, oni się zmordują, nimli się dobiorą do nas. Lecz nie opuszczę statku, póki się nie zbliżą na pół mili. Ankierki trzeba zatopić, żeby nie mieli prawa

konfiskować naszego statku. Przygotuj się spucić je z prawéj strony, żeby te psiska mogły przysiądz że ich niewidziały. A zresztą mamy jeszcze ogromne półgodziny przed nami.

— I nie ma czego się spieszyć! rzekł Morrison. Chociaż nie szkodzi przygotować się na każdy wypadek... Ale za pół godziny, przysięgam, ukryjemy się przed ich wzrokiem. Spójrzyjno tu kapitanie, mówił daléj, wskazując gęsty biały obłok na wschodniéj stronie nieba. Wszakże on idzie prosto na nas!

— Tak, Morrisonie; lecz jeszcze nie wiadomo kto wprzód nadejdzie, mgła czy celnicy. Ba, a to co? do nas zmierza szalupa z jachty? Pickersgiu spojrzałw lunetę.

— Tak, to sześciorna szalupa strzały; widzę imie, napisane złotemi literami na nosie. Ślicznie! bardzo prosiemy!.. Niebędziemy z nim robili ceremonji, nie mają przecie rozkazu admiralicji, i powinni przewidzieć następstwa podobnego kroku, tych panów nie ma się czego obawiać. Dostańcie mostki i haki, towarzysze. Sześciu robi wiosłami i trzech siedzi u rudla. Chociażby

w każdym z nich było po dziesiątku czartów, i tak nas nie dostaną.

W kilka minut lord był obok smuglera.

— Czego chcecie?

— Podajcie się w imie króla!

— Komu, czemu, za co mamy się poddawać? jesteśmy na angiélskim statku kupieckim, idziemy wzdłuż brzegu.

— Na pokład, dzieci, zawołał Stewart i wszyscy wioślarze wskoczyli na tender kontrabandysty.

— Cóż, panowie? czego wam potrzeba?

— Jesteście smuglerami, bierzemy was, nie ma czego się wymawiać... oto baryłki z gorącemi napojami.

— Myśmy przecie nigdy nie mówili że nie jesteśmy niemi, odpowiedział Pickersgill, ale kto wy jesteście? Wy zdaje mi się nie należycie do floty królewskiéj i nie jesteście płatni od komory celnéj.

— Nie, lecz mamy flagę, i bronić prawa uważamy za naszą powinność

— Lecz któż jesteście?

— Jestem lord Beauprey par połączonych królestw.

— W takim razie milordzie, niech mi woluo będzie powiedzieć, że ze stanu swego, obowiązany pan jesteś układać prawa, a ich wykonanie możesz zostawić innym choćby naprzykład tym panom którzy teraz są za nami. Poco panom mięszać się nie w swoje rzeczy? Nie zrobiemy panom nic złego, boście tylko słowami działali, lecz postaramy się abyście nam nie byli w stanie zaszkodzić. Chodźcie tu towarzysze!... Teraz milordzie, opór jest niewczesny nas dwa razy więcéj, raczcie więc sami się poddać.

Lord Beauprey i Stewart postrzegli, w jaką wpadli matnią.

— Możesz robić co ci się podoba, lecz pamiętaj pan, że szalupy celne są nie daleko, rzekł Stewart.

— A gdzie celny wilk?... Chciéj mi go pan pokazać, odrzekł Pickersgill.

Stewart spojrzał i postrzegł że tender zniknął we mgle.

— Za pięć minut i szalupy skryją się przed wzrokiem, a z niemi i wasz jacht także, i zdaje się, nie mam się czego obawiać.

— W saméj rzeczy, milordzie, czy nie lepiéj

byłoby nam powrócić? rzekł Stewart, widząc że Pickersgill ma słuszność.

— Nie, darujcie mi, panowie, zawołał Pickersgill. Jeszcze nie tak prędko dostaniemy się do swego jachtu, jak stę im zdaje. Ej zuchy! wybierzcie z téj szalupy wszystkie wiosła, a rzućcie tam im parę naszych krótkich, i jeden kruk, żeby mieli czém się dostać do brzegu. Jeśli kto się waży opierać, za bort! Możeś pan się nie postrzegł, milordzie, żeś się chwycił rzemiosła zbójcy morskiego na tych wodach.

Stewart spojrzał na lorda; smugler mówił prawdę. Ludzie z jachtu nie mogli niczemu przeszkodzić, wiosła zostały wyjęte, a ich samych znowu posadzono w szalupę.

— Milordzie, rzekł Pickersgill, szalupa gotowa, czy nie raczysz pan udać się na nią i pan także. Niechże się panowie spieszą: bardzoby mi było nieprzyjemnie zmuszać para Anglji albo porucznika floty krolewskiéj, chociażby był na połowie żołdu.

Dwaj smuglery odprowadzili i posadzili lorda w szalupę. Stewart udał się za nim.

— Wiosła pańskie, milordzie, będą złożone

przy komorze w Wejmouth: śmiem się spodziewać że ta lekcja nauczy nadal pana nie mieszać się w cudze sprawy,

Smuglery odepchnęli od bortu lorda Beauprey i jego towarzyszy; za kilka minut pogrążyli się we mgle, która pokryła także jacht i celne szalupy. W tęż chwilę zawiał lekki wietrzyk od wschodu.

— Kieruj się z wiatrem, Morisonie, rzekł Pickersgill: trzeba nam wybrać się z zatoki; te głupcy będą nie zawodnie wiosłować za pierwszym kierunku, rozumiejąc żeśmy tam zawsze; a i Appleboy tamże się spuści.

Pickersgill i Corbet mówili coś z sobą półgłosem; potém kapitan kazał zmienić kierunek na ćwierć koła.

— Nikt ani słówa, przyjaciele! rzekł Pickersgill. Uwiadomić mię, skoro kto z was usłyszy wystrzał lub głos dzwonów.

— Wystrzał... Bliziutko od nas, kapitanie, doniósł jeden z majtków, wystrzał dał się słyszéć prosto przed nosem,

— Dobrze; tak się trzymać. Pójdźcie tu zuchy. Nie możemy wyładować w zatoce, ponie-

waż z brzegu widziano jak celny tender nas gonił; to pewnie postawiło na nogi całą straż graniczną. Teraz, przyjaciele, oto com ułożył: ci panowie ze spacerowego jachtu wyobrazili sobie że mają prawo wziąść nas; żeby się na nich zemścić postanowiłem opanować ich statak. Wtenczas ujdziemy pogoni samego szatana, i będziemy mogli iść gdzie się podoba i wyładować towary bez najmniejszéj przeszkody, Podpłyniemy pod sam bort, tam bardzo nie wiele rąk się zostało: lecz nie róbcie nic złego nikomu, bądźcie grzecznemi i spełniajcie moje rozkazy.

Morrison ze czterma ludzmi i chłopcem pozostaną na naszym statku i odprawadzą go do Francji, do Cherbaurg, dokąd i my wkrótce przybędziemy na pięknym jachcie, jakiego Francuzi i we śnie jeszcze nie widzieli.

W kilka minut wystrzał znowu się dał słyszćć. Wszyscy goście lorda, a szczególnie damy, mocno się potrwożyli: mgła była gęstą do tego stopnia, że o kilka sążni nie mozna było rozróżnić przedmiotów. Widzieli jak ich szalupa przybiła do bortu smuglera, lecz nie widzieli jak ją odepchnięto i jak walczyła

przeciw silnemu prądowi: wtenczas właśnie mgła zupełnie zakryła lorda i jego towarzyszy. Na *strzale* zostało tylko trzech majtków, tak, że w przypadku nowego wiatru, złeby było; przy tém nie było żadnego człowieka, któryby mógł bezpiecznie przyprowadzić statek do portu. Mister Hautaine objął komendę nad jachtem i rozkazał strzelać z armat, żeby uwiadomić szalupę o swém miejscu. Już nabijano czwarte działo, gdy nagle ukazał się ze mgły tender smuglera.

— Oto oni! zawołali majtkowie: przywiedli z sobą zdobycz. Niech żyje Strzała!

— Ho! ho, zawołał Hautaine ostrożnie, bo się statki mogą uderzyć. Dotykacie prawie naszego boku.

— To właśnie jest moim zamiarem, panowie, odpowiedział Pickersgil, przeskakując ze swego tenderu na jacht, ze wszystkiemi smuglerami.

— Kto wy jesteście? zawołał mister Hafaine.

— Toż samo pytanie zadałem lordowi Beauprey kiedy wstąpił na mój pokład, odpowiedział Pickersgil, grzecznie się kłaniając damom.

— Dobrze, lecz czegóż u licha żądacie?

— Zupełnie tak pytałem lorda Beauprey odpowiedział Jack Pickersgill.

— Gdzie jest lord Beauprey? zapytała przelękniona miss Cecylja, zbliżając się do smuglera. Może mu jakie niebezpieczeństwo zagraża?

— Nie, pani; przynajmniéj wiem to, że ze swemi ludzmi, nie doznał od nas najmniejszej obrazy. Lecz darujesz pani, że ją najpokorniéj proszę udać się na dół, póki się nie rozmówię z tymi panami. Nie lękaj się pani... nie doznasz najmniejszéj niegrzeczności; opanowałem jacht tylko na czas krótki.

— Opanował jacht! krzyknął Hautaine.

— Tak, panie, dla tego że jego właściciel chciał mój statek zabrać. Zawszem sądził że tak piękne jachty zrobione są dla rozrywki i pływają dla zabawy swoich właścicieli, w doświadczeniu co innego się okazało. Właściciel tego jachtu uważa potrzebném naruszyć neutralność i napadać na człowieka, ktory mu nic złego nie uczynił, przez zemstę więc biorę jego statek.

— Lecz cóż tu pan chcesz zrobić?

— Prostą z wami zamianę na dni kilka. Was

panowie, odeszlę na mój tender pracować, pełnić smuglerską powinność, a sam zostanę tutaj z damami, i będę bawił się na waszym jachcie.

— Ale, mości panie, zdaje mi się...

— Niech się panu nic nie zdaje. Jużem mu odkrył mój zamiar, i tego dość; nie chciałbym, panowie, przystępować do gwałtownych środków, wymagam posłuszeństwa. Przy was, zdaje mi się, pozostało trzech tylko ludzi: tych nie jest dość, tem bardziéj że się wam przez dni kilka nie uda widzieć lorda Beauprey i reszty waszego ekwipażu. Uszanowanie dla dam, sama ludzkość nawet, nie pozwalają mi zostawić wasz statek w takiém położeniu. I, ponieważ mi potrzebne są ręce dla odprowadzenia mego tenderu do jednego z portów francuzkich, najpokorniéj zatém proszę was, moi panowie, przesiąść na niego i przyłączyć się do moich ludzi. To jedyny dowód wdzięczności jaki od was przyjmuję. Wam moi panowie, niezręcznie będzie pracować w waszych eleganckich ubiorach; bądźcie więc łaskawi włożyć te oto...

Corbet rzucił im kilka grubych flanelowych koszul, bajowych kurtek i wysmolonych żeglarskich szarawarów. Po słabym i bezużytecznym oporze, panowie Hautaine, Ossulton Vaughan i Seagrove, w odzieży kontrabandystów, zostali przeprowadzeni ze Strzały na pokład Dziecka szczęścia.

Trzej majtkowie którzy byli zostali na jachcie i służący pana Osultona, ubrany tak jak pan jego. odesłani także zostali na tender Pickersgilla i tam umieszczeni jako jeńcy w kozie. Corbet i smuglery naznaczeni przez Jacka na jacht, w kilka minut przeładowali na niego cały pakunek swego statku, oprócz ankierków. Morrison otrzymał informację od swego kapitana i statki się rozeszły. Dziecię szczęścia popłynął ku Cherbourg, a Strzała skierowała swój bieg wzdłuż brzegu Anglji ku zachodowi. W godzinę po téj zamianie mgła opadła i Pickersgill postrzegł że tender celny leżał na drefie i czekał na swoje szalupy które z całych sił wiosłowały na powrót. Morrison był już o trzy mile zewnątrz zatoki, a lord ze swemi towarzyszami dokładał wszelkich usiłowań żeby ich jakkolwiek prąd

zaniósł do Portlandu. Tylko co szalupy celne przybiły do bortu zręcznego, rozwinął on wszystkie żagle i puścił się w pogoń za jachtem smuglerskim, nie zwracając uwagi na szalupę lorda Beauprey którą pra d unosił ku West-bay.

V

PRZEBRANIE.

— No, Corbecie, zdaje się że nasza sprawa dobrze stoi, rzekł Pickersgill. Ale teraz nie chcę wyłącznie zajmować się interesami, trzeba się też zabawić. Zdaje mi się, że ta tu odzież będzie ci do miary, a ubior tego urodziwego eleganta, mnie się przyda. Przebierz-

my się i pójdźmy jeść śniadanie z damami.

Pickersgill włożył suknie Hautaina, a Corbet Ossultona. Zawołali bufetowego, który, rozumie się nie śmiał się sprzeciwić, i stanął drżący jak listek.

— Słuchaj, odniesiesz tę odzież na dół rzekł Pickersgill, i pamiętaj, bracie, że teraz ja dowodzę jachtem; póki jestem tutaj, powinieneś mi oddawać tęż samą cześć jak lordowi Beauprey i mówiąc do mnie nazywać mię będziesz milordem albo lordem Beauprey. Przygotuj śniadanie i obiad, i pamiętaj, żeby wszystko było tak dobre jak za twego dawnego pana. Za nic w świecie nie ścierpię żeby damy miały chociażby najmniejszy powód nieukontentowania... i żeby ich obiad lub śniadanie były mniéj rozkoszne niż przed tém. Odniesiesz mój rozkaz kucharzowi, a teraz, wiedząc już moje chęci, postaraj się, kochanku, żeby wszystko było dokładnie wypełnione. Jeżeli ci przyjdzie chętka nie być posłusznym, nie zapominaj, że ludzie moi są tutaj, i że trzeba mi tylko podnieść palce do góry, a w téj chwili będziesz w morzu. Czyś zupełnie mię zroznmiał?

— Tak, panie, odpowiedział jąkając się bufetowy.

— Panie? A cóżem ci dopiero mówił? Jestem milord, rozumiesz?

— Tak, milordzie.

— Powiedz mi, czyje suknie przywdział ten pan?

— Pana.., pana Ossultona, zdaje się proszę pana... milorda... przepraszam...

— Dobrze, w takim razie nie śmiéj go inaczéj nazywać jak panem Ossulton.

— Słucham J. W. milordzie; i bufetowy wróciwszy do swojéj kajuty, musiał wypić dwa kieliszki wódki, żeby nie zemdléć.

— Kto oni tacy? mister Meddox? zawołała pokojowa Miss Ossulton, zalewając się łzami.

— Rozbójnicy!... wyuzdani... okrutni... krwi chciwi zbójcy, odpowiedział bufetowy.

— Och! zawołała pokojówka: cóż się stanie z nami biednemi, bezbronnemi kobietami!

Pobiegła do kajuty i udzieliła tam tę fatalną nowinę. Damy znajdowały się w położeniu nie bardzo godnym zazdrości. Starsza miss Ossulton wąchała spirytusy i sole, dręczona

niewiadomością i zniewagą swego dostojeństwa; mistress Lascelles płakała po cichu; miss Cecylja było smutną: jéj malutkie serduszko biło ze strachu i obawy, gdy nagle wpadła pokojówka.

— O, pani, o miss! ach, mistres Lascelles! zginęłyśmy; dowiedziałam się wszystkiego..... to są wyuzdani, okrutni, krwi chciwi zbójcy morscy!

— Miłosierne niebo! zawołała stara panna: lecz pewna jestem, że się nie odważą...

— Ach, pani, oni się na wszystko odważą! oni tylko co chcieli wrzucić wmorze bufetowego, przetrząsali wszystkie kufry, ubrali się w najlepsze suknie naszych panów... Ich kapitan powiedział bufetowemu że jest lordem Beauprey i że jeśliby się ośmielił nazywać go inaczéj, rozkroi mu gardło ucha dood ucha; a jeżeli kucharz nie zgotuje im smacznego obiadu, zbójca ten oderznie mu prawą rękę i przymusi jego samego zjeść ją bez soli i pieprzu!

Stara miss Ossulton dostała isterycznego paroxyzmu. Mistriss Lascelles i miss Cecylja rzu-

ciły się jéj na pomoc, młodziutka miss nie zapomniała jednak grzeczności Pickersgilla, kiedy obejmował dowództwo jachtu, i dla tego nie zupełnie wierzyła opowiadaniu pokojówki, chociaż bojaźń o siebie i ojca mocno ją trwożyła. Ocuciwszy ciotkę, miss Cecylja włożyła kapelusz który leżał na sofie.

— Dokąd moja miła? zapytała mistriss Lascelles.

— Na górę, odpowiedziała miss Cecylja, chcę, powinnam mówić z temi ludźmi.

— Boże sprawiedliwy! Dokąd ty idziesz?... Wstrzymaj się! Czyliż nie słyszałaś co mówiła Liza?

— Słyszałam, ciociu... lecz nie mogę dłużéj być w niepewności.

— Nie wypuścić ją!... oni ją zabiją!... oni ją.... Ona rozum straciła!

Lecz nikt nie zatrzymywał Cecylji, i spokojnie wyszła z kajuty. Wszedłszy na schody, ujrzała Jacka Pickersgill i Corbeta przechodzących się po pokładzie; jeden smugler stał u rudla, inni rozsypali się po jachcie; słowem wszystko szło tym samym trybem; tak

było spokojnie jak przed tém. Ledwo się ukazała Cecylja, Jack zdjął kapelusz i ukłonił się jéj bardzo grzecznie.

— Nie wiem, z kim mam zaszczyt mówić, pani, ale mi bardzo pochlebnie widzieć dowód jéj zaufauia. Pani widzisz... i śmiem ją upewnić, że się pani nie myli... pani raczy wiedziéć że nie jesteśmy dzikiemi zwierzętami.

Cecylja spojrzała na Pickersgila więcéj zzadziwieniem jak z obawą: suknie Hautaina były mu zupełnie do miary; zdawał się bardzo zgrabnym i przystojnym mężczyzną i nie miał nic rozbójniczego w swojéj fizjonomii: przy tém, podobnie jak „korsarz" Bajrona, był „ pół-okrutny pół czuły." Nie mogła się wstrzymać od mysli, że spotykała, na balach londyńskich i w modnych towarzystwach, ludzi daleko mniéj *comme il faut*, aniżeli ten wyuzdany, okrutny, krwi chciwy rozbójnik.

— Odważyłam się przyjść tu, rzekła miss Cecylja głosem nie pewnym, prosić jak o łaskę, żebyś pan chciał mi odkryć swoje zamiary co się tycze jachtu i dam.

— W takim razie niech mi wolno będzie raz

jeszcze podziękować pani za położone we mnie zaufanie; plan mój już ułożony, i będę pani jak najgrzeczniéj odpowiedał; ale pani drżysz... niech pani raczy przyjąć krzesło; żeby zniszczyć pani obawę będę się tłomaczył krótko i jasno: statek ten mam zamiar powrócić tym, do kogo należał, że wszystkiemi rzeczami, jakie się na nim znajdowały przed mojém przybyciem i które będą święcie szanowane. Co się tycze pani, i innych dam, daję pani słowo poczciwości, że niczego się obawiać nie powinnyście :będę się obchodzić z paniami z zupełném uszanowaniem, i za kilka dni połączycie się z waszemi krewnemi i przyjaciołmi. Za skutek tego przysięgam pani, na wszystko, co tylko jest dla mnie świętego w życiu, lecz chcę jeszcze dodać kilka warunków, które z resztą, nie będą zbyt surowe.

— Lecz, odpowiedziała Cecylja, zupełnie prawie uspokojona, dla tego że Pickersgille stał przed nią w postawie oznaczającéj najgłębsze uszanowanie: lecz pan,jeżeli się nie mylę, jesteś kapitanem kontrabandystów?... Bądź pan łaskaw,odpowiedz mi jeszcze na jedno pytanie: co się sta-

ło z lordem Beaupry i jego towarzyszami? on jest moim ojcem.

— Zostawiłem ojca pani w jego własnéj szalupie miss, lecz odebrałem od nich wiosła.

— Więc on zginie! krzyknęła miss Cecylja zakrywając chustką oczy.

— O nie, teraz pewno już jest na brzegu. Pozbawiłem go tylko środków wspomagania celnego statku aby mię opanować, lecz nie odebrałem sposobu dostania się do brzegów. Nie każdy by tak postąpił po tem co lord chciał uczynić dla mnie i moich towarzyszy.

— Prosiłam go aby nie jechał! rzekła Cecylja mówiłam mu, że to nie pięknie i że nie ma za co kłócić się ze smuglerami.

— Dzięki pani i za to, odpowiedział Pickersgill i teraz, miss... Przepraszam nie mam zaszczytu znać nazwiska ojca pani.

— Ossulton, rzekła miss Cecylja patrząc na Pickersgilla z wzrastającém podziwieniém.

— Więc za pozwoleniem pani, miss Ossulton chcę ją uczynić moją powiranicą, daruj pani, że się tak wolno wyrażam, lecz to dla tego że pragnę zniszczyć zupełnie strach i nieufność pani. Winienem ją uwiadomić że chcę aby moje

zamiary były tajemnicą dla wszystkich osob znajdujących się na statku. Czuję że się mogę zwierzyć pani, bo jesteś odważną a kto ma odwagę ten pewno prawym być musi. Śmiem zapytać panią czy znajdę w niéj tyle powolności ażebyś chciała zachować moję tajemnicę?

Cecylja pomyślała przez chwilę. Wstrzymywała ją myśl zostania powiernicą kontrabandysty, „rozbójnika" lecz szczegołowa wiadomość o jego zamiarach, chociaż ich niemożna będzie odkryé nikomu, ważną i ciekawą była dla niéj. Może się uda go cokolwiek ułagodzić? Nic już gorszego stać się nie mogło, jest więc nadzieja że jéj położenie na lepsze się zmieni, i w tém żadnéj wątpliwości nie było. Grzeczność Pickersgilla przejęła ją ufnością, i chociaż znieważał prawa swéj ojczyzny, jednak w jéj oczach był człowiekiem bardzo zacnym, ponieważ znał ustawy przyzwoitości swiatowych. Milutka miss Cecylja jak się to już wyżéj okazało miała dużo śmiałości i postanowiła odpowiedzićć.

— Jeżeli tajemnica któréj pan wymagasz nie sprawi nic złego nikomu i mnie nie postawi w nieprzyjemném położeniu, zgadzam się na to.

— Nie jestem w stanie uczynić przykrości muszce, miss Osulton, chyba tylko we własnéj mojéj obronie, i tyle mam dla pani szacunku, że pewno nie użyję na złe jéj powolności. Niech mi wolno będzie być szczerym, wtenczas przekonasz się pani, że każdy inny na mojém miejscu takby zupełnie postąpił nie okazując ani połowy mego umiarkowania. Ojciec pani bez żadnego prawa, zamyślił mięszać się w moje sprawy; mogłem być schwytany, zamknięty w więzieniu, osądzony, wysłany na wygnanie, może nawet stracony. Nie mam zamiaru uniewinniać smuglerstwa, dość jeśli powiem, że są pewne kary za naruszenie pewnych ustaw, i że ja się ważę na sciągnienie ich na siebie. Lord Beauprey niebył upełnomocnionym ze strony rządu, do przejmowania niektórych towarów i uczynił to samowolnie; i gdybym był nawet wyrzucił go w morze i wszystkich jego towarzyszy, miałbym i wtedy słuszność; w podobnych okolicznościach właśnie tak się postępuje, ponieważ bronić się wolno każdemu. Ojciec pani zmienił swój jacht na celnego włoczęgę: niech więc to panią nie dziwi że zrobię z niego smuglera a waszych kawalerów kontrabandystami. Jużem ich ustroił w smu-

glerską odzież i odprawił na moim statku do Cherbourg, wysiądą tam na bezpieczuie. Sam z memi towarzyszami ubrałem się, jak pani widzi dla żartu, w ich suknie. Celem moim jest naprzód, zawieść mój ładunek, który tu się dopiero znajduje, do Anglij, a powtóre zemścić się nad ojcem pani i jego przyjaciołmi, za ich złe względem mnie zamiary, tém, że zajmę ich miejsce i sam jeden będę się cieszył przyjemnością morskiego spaceru z ich damami i na ich statku. Własność milorda jak powiedziałem, jest świętą: będę tylko rozrządzać, jak gospodarz jego stołem i winem, lecz to wszystko nie sprawi mi jeszcze najmniejszego ukontentowania, jeśli obecne tu damy nie będą za jednym ze mną stołem, jak zwykły bywać zapewnie z ojcem pani i jego przyjaciołmi.

— Nie myślę żeby na to przystały, rzekła miss Cecylja.

— A ja przeciwnie, jestem tego pewny. Od tego bowiem zależéć będzie nie tylko oswobodzenie jachtu i ich samych, lecz nawet ich pokarm powszedni. Zostawiam zdaniu pani, czyż nie lepiej się zgodzic, dla powszechnego do-

bra? Upoważniam panią do oświadczenia innym damom, że jakiekolwiek będzie ich postępowanie, zostaną zupełnie bezpieczne od grubijaństwa i przymusu, lecz nie ręczę, żeby się nie przegłodziły, jeżeli, przy całéj mojéj grzeczności będą tak niewdzięczne i odmówią zaszczycić mię swém towarzystwem!

— Więc pan głodem chcesz nasz zmusić do posłuszeństwa?

Bynajmniéj pani, nie pozwolę tylko nic więcéj zanieść do kajuty damskiej prócz chleba i wody, lecz niech mi wolno będzie zrobić tę uwagę, że między dobrze wychowanemi ludźmi, za grzeczność trzeba odpłacać grzecznością, i że takiego człowieka jakim ja jestem, nierostropnie grubjaństwem obrażać.

— Jesteś pan bardzo przekonywającym, rzekła miss Cecylja. Co się mnie tycze, gotowam wszystko poświęcić aby wybawić ojca mego od najmniéjszéj nieprzyjemności. Za panskiém pozwoleniem pójdę do kajuty uspokoić moje towarzystwo; tajemnica pana będzie dochowaną; lecz powinnam, panu powiedzieć, że z powodu wieku mego nie mam żadnego wpływu na starszych odemnie: proszę się nie gniewać na mnie jeśli dowody moje zostaną odrzucone.

Czy mogę powiedzieć o zamiarach pana jednéj damie zamężnéj, która się znajduje tu na statku?.. zamężnéj damie? Wtenczas, może żądania pana będą spełnione... czego z całéj duszy pragnę, jedynie dla tego żeby jak najpręcéj ujrzeć papę i kuzynów:

— I uwolnić się od mego towarzystwa dodał Pickersgill z ironicznym uśmiechem. Bez wątpienia, zgadzam się na to. Lecz zapomniałem pani jeszcze jedną rzecz powiedzieć: chcę zrobić sobie i paniom małą uciechę szczególnego rodzaju. Pani będziesz mię nienawidzić, i pewno już mię nienawidzisz, lecz to nie przeszkodzi jéj mieć udział w ogólnéj zabawie. Jak nas pani zarekomenduje swoim damom? Pani nie powinnaś znać naszych nazwisk; to mogłoby potém pociągnąć za sobą różne niedogodności... Wprzód nim pani zejdzie na dół, niech mi będzie wolno, przedstawić jéj mego przyjaciela, pana Ossultona, dodał Pickersgill, wskazując na Corbeta, który zdjął kapelusz i grzecznie się ukłonił.

Miss Cecylja nie mogła się wstrzymać od śmiechu.

— I mówił dalej Pickersgill objąwszy dowód.

twa jachtu na miejscu ojca pani, muszę także przyjąć jego nazw isko. Pókim tu, jestem lord Beauprey, pod tém imieniem rekomenduję się pani. Inaczéj nie można mię nazywać, i ja stanowczo na to nie pozwolę. Możesz pani być przekonaną, miss Ossulton o méj ojcowskiéj czułości i chęci sprawienia pani wszelkich przyjemności jakie tylko można.

Jeśliby Cecylja dała wolny bieg swym uczuciom, pewno byałby głośno się rozśmiała; lecz to byłoby nadto nieprzyzwoicie. Zabawność zdarzenia ośmieliła ją jeszcze bardziéj, i dość wesoło spuściła się do kajuty.

Miss Ossullton, i mistris Lasceles czekały powrotu Cecyllji z największą niecierpliwością: nie wiedziały co mają myśleć o jéj długiéj nieobecności a same nie śmiały wyjść na pokład. Mistriss Lascelles chciała tam pójść, rozważając, że jeśli ci rozbójnicy morscy w saméj rzeczy tak niepowściągnieni, okrutni i krwi chciwi, jak mówiła Liza, więc czém prędzéj ich okrucieństwo i chciwość krwi się nasyci, tém lepiéj; lecz ją wstrzymały prożby i krzyki sta-

réj Ossulton. Spokojna postać wchodzącéj posłanki „korsarza“ wróciła odwagę wdowie; ciotka rzuciła się na szyję Cecylji i łkając zaledwo mogła wymówić: — Co zrobili z tobą moja biedna, biedna Cesiu?

— Nic, moja ciociu, odpowiedziała miss Cecylja. Co oni za rozbójnicy!.. oni wcale nie rozbójnicy. Kapitan bardzo grzeczny i mówi, że z nami będą się obchodzić z uszanowániem, jeśli tylko będziemy pełniły ich wolą; a jeśli nie...

— A jeśli nie, to co? zawołała stara panna chwytając swoją synowicę za rękę.

— Zamorzy nas głodem i nie wypuści ztąd.

— Boże zlituj się nad nami zawołała miss Ossulton z nowém łkaniem.

Cecylja zbliżyła się ku mistriss i odkryła jéj pocichu wszystko o czém wiedziała. Wdówka się przekonała że istotnie nie ma się czego obawiać i ciągnąc daléj rozmowę o tym wypadku obiedwie się nakoniec rozśmiały. Myśl że te wszystkie rozpieszczone eleganty przestroiły się na smuglerów, zdawała się i n tak zabawną, że

nie mogły się wstrzymać od śmiechu. Cecylja bardzo rada była zataić wszystko przed dumną swoją ciotką, chciała uastraszyć do tego stopnia miss Osulton aby się nazawsze pozbyła ochoty do przejażdzki z nią razem na jachcie, a misstres Lascelles cieszyła się sposobnością pomęczenia staruszk i za liczne odebrane od niej urazy; szczególnie ona chciała niecierpliwie oglądać nowego lorda Beauprey i nowego mister Osultona. Tymczasem pora sniadania minęła, i teraz kiedy przestrach już minął damy porządny uczuły apetyt. Posłano Lizę do bufetowego po herbatę i kawę, przyniosła odpowiedź że „śniadanie gotowe i JW. lord Beauprey raczy czekać na damy.“

— Nie, nie, rzekła misstriss Lascelles nie pójdę nie zrobiwszy z nim wprzódy znajomości.

— I ja także nie pójdę, rzekła Cecylja; napiszę do niego, otrzymamy tutaj śniadanie.

I napisała ołówkiem co następuje: „Miss Cecylja Ossulton przysyłając swoje uszanowanie lordowi Beauprey ma zaszczyt uwiadomić, że damy po przestrachu porannym nie czują się przy zupełném zdrowiu: spodziewają się

przeto że dostojny lord będzie je miał za wytłómaczone że nie przybędą podzielić z nim śniadania, lecz będą miały zaszczyt spotkać milorda przy obiedzie lub wprzód jeszcze na pokładzie.

Milord pospieszył z przychylną odpowiedzią i bufetowy stawił się ze śniadaniem w damskiéj kajucie.

— Cóż? Meddox? zapytała miss Cecylja: a jak ci się wiedzie z twoim nowym panem?

Bufetowy spojrzał na drzwi czy są zamknięte i odpowiedział głosem rozpaczy:— On, łotr, kazał upiec od razu połowę naszych kuropatw, i dwa razy odgrażał się że mię rzuci w morze!

— Powinieneś go słuchać, bo on w saméj rzeczy to zrobi. Korsarze okropni ludzie. Bądź uważny i służ mu tak samo jak memu ojcu.

— Dobrze, dobrze, pani, będę mu służyć; ale przyjdzie i nasza koléj; to jest rozbój, i chętnie przejdę pięćdziesiąt mil piechotą żeby go widziéć na szubienicy.

— Bufetowy! zawołał Pickersgill z męzkiéj kajuty.

— Mój Boże! czyż on mnie usłyszał?... Jak pani myśli, czy on słyszał co ja mówiłem?

— Przegroda bardzo cienka, a mówiłeś głośno, rzekła mistris Lascelles. Idź że prędzéj do niego.

— Przebacz, mis!... przebacz, pani!... może już was więcej nie ujrzę, jąkał Meddox drżąc cały i spiesząc stawić się na groźne wezwanie.

Stara miss Ossulton nie tknęła śniadania, lecz Cecylja i mistres Lascelles jadły z wielkim apetytem.

— Jakże nie przyjemnie siedzieć tu w zamknięciu! rzekła mistres Lascelles: przyjdźmy na górę, Cecyljo.

— Opuszczacie mnie? krzyknęła stara miss Ossulton.

— Liza zostanie przy cioci; idziemy skłonić tych tyranów aby nas jak najprędzéj wysadzili na brzeg, albo zamordowali.

Mistris Lascelles i miss Cecylja włożyły kapelusze i wyszły na pokład. Lord Beauprey bardzo się grzecznie ukłonił i prosił Cecylji aby go przedstawiła pięknéj wdowie, potém podał damom krzesła, i wszedł z niemi w rozmowę,

która w oczach Cecylji i jéj towarzyszki miała dość powabu. Dostojny lord opowiadał o Francji, opisywał jéj miasta, wskazywał im rozmaite cyple, zatoki, wsie, mimo których wtenczas przechodzili, i mięszał z tém wszystkiém dowcipne żarty i zabawna anegdoty. Nie wyszło dwóch godzin, gdy damy, z wielkiém swém zadziwieniem postrzegły, ile je zajmuje przyjemna i rozmaita rozmowa kapitana kontrabandystow, i często z duszy śmiały się z jego dowcipu. Ożywiła je śmiałcść i zupełnie się przekonały, że jedynym jego zamiarem było wyładować swoje koronki, zemścić się za siebie, i pożartować. Żaden z tych występków nie jest kryminalnym w oczach płci pięknéj a Jack był przystojny mężczyzna, miał przyjemne ułożenie i zręcznie umiał prowadzić i utrzymać rozmowę prócz tego i on i Corbet obchodzili się z damami z jak największém uszanowaniem.

— Pamiętaj milordzie rzekła nakoniec do niego wdowa, żeś nas natchnął ufnością, swojém słowem honoru.

— Więc pani czyni mi ten zaszczyt że polega na mojem słowie.

— Niewierzyłam panu, pókim go niewidzia-

ła rzekła misstriss Lascelles: lecz teraz mocno jestem przekonaną że nas nie zawiedziesz.

— Utwierdzasz mię pani w tém postanowieniu rzekł kłaniając się Pickersgill, bardzoby mi było przykro zniszczyć dobre usposobienie pani, a témbardziéj stać się go niegodnym.

Rzeczy na jachcie szły jak najlepiéj.

VI.

WYŁADOWANIE KONTRABANDY.

Miss Cecylja zeszła do kajuty z obaczyć jak się ma jéj ciotka, a pani Lasceles rozmawiała daléj na pokładzie z Pickersgilem. Jack zaczął bronić swoje postępowanie względem lorda Beauprey, a mistress Lasceles przekonała się że tamten był wszystkiemu winien, wciągu

rozmowy dotknęła rzemiosła Jacka, które podług jéj sądu było niegodném jego wychowania.

— Może mi pani nie uwierzysz, kiedy jéj powiem, że ja, Jack Pickersgill, smugler, mam równie piękne herby jak i lord Beauprey; znany jestem na tych wodach nie pod mojém nazwiskiem, wyznaję, że mógłbym wybrać dla siebie inny zawód, więcéj zgodny z mojém urodzeniem, lecz mnie się podoba dzikie morskie życie, które prowadzę dowodząc mojemi zuchami. Cóżbym czynił w waszém angielskiém towarzystwie, gdzie największym występkiem jest ubóstwo? Jeżeli mi się powiedzie, jeśli się zbogacę, przyjmę znowu prawdziwe nazwisko, i wtedy może spotkasz mię pani w waszém kole. Jeśli to się kiedy zdawać będzie potrzebném, będziesz nawet mogła pani wszystkim powiedziéć, że ten pan przewoził koronki bez wiedzy komory celnéj.

— Tegobym za nic w swiecie nie uczyniła, odpowiedziała młoda wdowa, lecz zawsze nie mogę widziéć bez przykrości że człowiek zrodzony dla wyższych daleko zatrudnień, zajmuje

się zakazaném rzemiosłom, chociaż bardzo pożyteczném dla naszéj kobiecéj próżności.

— Zgadzam się w tém z panią zupełnie, i przy pierwszéj sposobności porzucę smuglerstwo: żaden z nas nie pragnie tak gorąco rzucić swoje więzy...

W téj chwili bufetowy ukazał się i przez znaki prosił mistriss Lascelles żeby się zbliżyła, która przepraszając Pickersgilla, postąpiła ku niemu.

— Dla Boga, pani, rzekł, Meddox ponieważ on jak się zdaje, nie bardzo zły dla pani, niech się go pani zapyta jakich chce kotletów! Kucharz drze sobie włosy, kazał mu zrobić kotlety po mandaryńsku, i obiecał zjeść i mnie i kucharza, jeżeli kotlety będą gorsze jak u chińskiego sułtana. My nie wiemy jakie to kotlety po mandaryńsku.

Mistriss Lascelles rozkazała Meddoxowi zaczekać, a sama zbliżyła się do Pickersgilla dla potrzebnych objaśnień, za kilka chwil powróciła do bufetowegó z instrukcją Jacka, który między innemi, doskonałym był gastronomem i znał wiele tajemnic sztuki kucharskiéj. Po tém znowu zaczęła rozmowę z Pickersgillem do któréj

nakoniec przyłączył się i Corbett który dotąd nie mięszał się w ich rozprawę. Corbett barnie dzo dobrze rozumiał, że jeśliby chciał zjednać sobie przychylność dam, trzeba aby wprzódy naczelnik zapewnił sobie ich łaskę.

Tymczasem Cecylja krzątała się około swojéj cioci, która ciągle jeszcze płakała i uskarżała się. Cecylja usiłowała pocieszać starą i przekonać, ją że nie ma żadnego dla nich niebezpieczeństwa, jeżeli tylko będą grzecznemi i posłusznemi.

— Grzeczne i posłuszne! wołała stara miss Ossulton ze smuglerem!... Jak on śmie łotr!... Nigdy!... Co za zbrodnicza zuchwałość!

— Wszystko to dobrze, moja ciociu, ale proszę pamiętać, że trzeba niekiedy uledz okolicznościom. Ci ludzie wymagają żebyśmy z niemi jadły obiad, i musiemy tak uczynić, jeżeli nie chcemy zostać o głodzie.

— Ja miałabym siedzieć za jednym stołem ze zbójcą morskim?.., Nigdy! Nie potrzebuję obiadu; wolę z głodu umrzeć.

— Ale, ciociu, w tém się zawiera jedyny środek naszego wyzwolenia; jeśli pani na to się nie zgodzisz, mistriss Lascelles pomyśli, że ciocia sama życzy z niemi pozostać.

— Mistris sądzi o wszystkich podług siebie.

— Kapitan zdaje się być nader ukształconym, i bardzo podobny do przebranego gentlemana i mnie się zdaje ciociu, że to wszystko jest czyimkolwiek żartem... Jak się cioci zdaje?

— Żartem? zapytała miss Osulton, cokolwiek uspokojona.

Cecylja bardzo była zadowoloną ze swego domysłu: zaczęła dowodzić najmocniéj przekonywającemi argumentami, że to być musi niezawodnie żart iéj ojca, i że mniemany kapitan smoglerów, — pewno jest jakąś znakomitą osobą. Stara miss Ossulton powoli zaczęła się skłaniać na jej dowody i wreście przystała podzielić z nimi obiad.

Nakoniec i misstris Lascelles zeszła do nich; kiedy podano do stołu, damy udały się do wielkiéj kajuty, gdzie już ich czekali Pickersgill i Corbet. Stara miss Ossulton nie śmiała podnieść oczu, póki nie usłyszała grzecznéj prośby Pickersgila, mówiącego do mistrss Lascelles:

— Mogęż się spodziewać że pani zechce mię

przedstawić téj damie, któréj do téj chwili nie miałem zaszczytu widzieć?

— Bardzo chętnie, milordzie, rzekła pani Lascelles: Miss Ossulton, ciotka téj młodéj panny....

— Bardzom szczęśliwy, że mam zaszczyt znajdować się w towarzystwie miss Ossulton, rzekł Pickersgill. Niechże panie raczą zająć swe miejsca? *mister Osulton*, proszę usiąść na tamtym końcu stołu i rozdać nam zupę.

Miss Ossulton w zadumieniu patrzyła na smuglerów. Widziała w nich dwóch pięknie ubranych, zręcznych, szlachetnéj postaci mężczyzn, z których jeden, jak się zdało był lordem, a drugi nosił jéj nazwisko.

— Zapewne muszą to być tylko żarty, pomyśliła, i spokojnie wzięła się do zupy.

Obiad przeszedł najprzyjemniéj jak być może. Piekersgil był zajmującym, Corbet milczał bardzo roznmnie, i miss Ossulton tyle się ośmieliła, że nakoniec odważyła się wypić kieliszek szampana za zdrowie milorda i zapytać Corbeta z któréj gałęzi ich familji pochodzi.

— Sądzę że z irlandkiéj, pochwyciła mistriss Lascelels.

— Tak jest, pani, odpowiedział Corbett.

— Czy pani była kiedy w Torquay zapytał Pickersgill.

— Nie, milordzie, odpowiedziała mistriss Lascelles.

— Za godzinę rzucimy tam kotwicę i pewno stać będziemy do jutra. Bufetowy, kawy!.. powiedz kucharzowi że kontent jestem z kotletów, i zabiorę go z sobą do Chin.

Damy wróciły do swojéj kajuty. Stara miss Ossulton była w najmocniejszém przekonaniu że to wszystko jest mistyfikacja.—Lecz, dodała, skoro mój brat powróci, powiem mu zdanie moje o podobnych żartach! Jak nazywa się ten lord?

— Nie mówił tego, odpowiedziała mistriss Lascelles, ale zdaje mi się, że to jest lord Blarney.

— Lord Blaney, chciałaś pani powiedziéć, poprawiła miss Ossulton. Lecz jakkolwiek bądź, wszystko ma granice: ten żarcik za daleko już zaszedł! Cecyljo, wysiądziemy na brzeg w Torquay i tam będziemy czekać na powrót achtu z twoim ojcem. Nie lubię tych rzeczy;

można ich sobie z resztą pozwalać z wdowami, lub z osobami mniéj znakomitemi...

Mistriss Lascelles przygryzła swoje różowe usteczka, widząc starą pannę w tak dobrym humorze. Wicle miała powodów do gniewania się na nią, i pragnęła zemścić się za siesie. bie.

Dla tych przyczyn kobiety są gotowe na wiele się odważyć: nie wiem jakby daleko zaszła pani Lascelles w inném zdarzeniu, lecz, teraz ostatni przycinek miss Ossulton wiele ją do tego pobudził. Włożywszy kapelusz, wyszła na pokład i bez ogrodek oświadczyła Pickersgillowi, że niczém nie może tyle zobowiązać ją i Cecylję, jak nastraczywszy porządnie miss Ossulton, która, sądząc że to wszystko była żartem jéj brata, zupełnie się uspokoiła. Opowiedziała mu o złośliwości i pysze staréj panny, i prosiła aby jéj dał porządną nauczkę na przyszłość.

— Zyczenie pani, piękna mistris Lascelles, spełnioném zostanie, postaram się przy tam połączyć korzyść z ukontentowaniem.

Po krótkiéj rozmowie, jacht stanął na ko-

twicy w Torquay na dwie godziny prred zachodem słońca, Ledwo zwinięto żagle, przybyli na jacht dwaj bogaci obywatele, aby złożyć swe uszanowanie lordowi Beauprey. Wiedząc od Cecylji że jéj ojciec nie miał znajomych w téj stronie, Pickersgill sam ich przyjął, zaprosił do kajuty,, częstował winem, obiecał popierać ich sprawy w Londynie i prosił ażeby odprawili szalupę którą przybyli, ponieważ swoją ma posłać do brzegu. Smuglerzy przedsiewzięli środki żeby ani bufetowy, ani kucharz, ani pokojówka, nie mieli żadnéj komunikacji z przybyłemi gośćmi. W przeciągu pół godziny spędzonéj przez szlachtę z Torquay u mniemanego lorda Beauprey, wszystkie skrzynie i paki znajdujące się na statku napełnione zostały kontrabandą i przeniésione na szalupę. Corbet odwiósł gości dostojnego lorda, a sam udał się do oberży, wiodąc za sobą smuglerów, którzy przenieśli paki bez najmniejszéj przeszkody. Wykonawszy to najął konie pocztowe i pojechał do bliskiego miasta, gdzie mieli swoich wspólników i takim sposobem większa część ładunku była zupełnie zabezpieczoną. Powrócił w nocy i przy-

wiózł z sobą ludzi dla zabrania pozostałych koronek, jedwabiu i herbaty, przywiezionych na brzeg równie pomyślnie. Nic nie zostało wyjąwszy małéj części koronek które się nie zmieściły w pakach; Pickersgill mógłby odesłać i to lecz żeby zadowolić pani Lascelles inne zrobił rozporządzenie.

Następnego poranka po śniadaniu mistriss Lascelles wbiegła do damskiéj kajuty z wyrazem największéj rozpaczy, i rzuciła się na sofę jakby mając zemdleć natychmiast.

— Mój Boże! cóż się to stało? zawołała Cecylja, która dobrze była zawiadomioną co się stać powinno.

— O, niegodny!... on śmie robić podobne propozycje!

— Propozycje! jakie propozycje?... Jako! lord Blaney?... propozycje? zawołała miss Ossulton.

— O, on nie lord, on łotr i smugler! on żąda abyśmy napełniły kieszenie i okręciły się

koronkami i tak z nim na brzeg jechały...

— Mój Boże; więc to nie żarty?... I ja siedziałam u jednego stołu ze smuglerem!... U jednego stołu! gdyby to tylko...będziemy musiały iść z nim pod rękę do portu i do hotelu. Ah Boże! Cecyljo, wzywają mnie na pokład, pójdź ze mną moja droga.

Miss Ossulton rzuciła się na sofię i z całych sił dzwoniła na Lizę; była okropnie przestraszona.

Ktoś zastukał we drzwi.

— Wejdź, rzekła miss Ossulton, sądząc że to pojówka, gdy nagle ukazał się Pickersgill.

—Czego pan chesz? Proszę się oddalić! Wyjdź-że pan bo będę krzyczeć.

— Krzyczeć nie ma potrzeby, pani. Proszę wspomnieć że na tym jachcie wszystko słucha moich rozkazów... Miss Osulton, proszę poprzestać ze mną wszelkich ceremonji i wysłuchać mię jak należy. Jestem jak pani wiadomo smuglerem i chcę przewieść te oto koronki. Wiele mię pani zobowiążesz, napełniwszy niemi swoje kieszenie, albo okręcając je w koło jéj

dostojnéj osoby, a potém niech pani będzie gotową jechać razem ze mną do brzegu. Nie pierwszą pani będziesz która tym sposobem przewozi kontrabandy.

— Ja miałabym jechać z pańskiemi koronkami? Nie mój panié, nigdy!.. Cóżby o mnie powiedziano? Żeby znakomita dama z rodu Ossultonów przejeżdzała się ze smugleram! nigdy, nigdy!

— Tak, pani będziesz się przechadzać pod rękę ze smuglerem, będę panią prowadził z jednéj a mistriss Lascelles z drugiéj strony, radzę pani zachować się przyzwoicie i ostrożnie, dla tego, że naprzód jeśli kontrabanda znalezioną zostanie przy niéj, pewno pani sama a nie kto inny przy najmniejszém pozostaniesz uwięzioną... przy najmniejszém pokuszeniu na zdradę my wszyscy panią obwiniemy, a powtóre miss Cecylja zostaje na jachcie jako zakład przyzwoitego zachowania się pani i jeśli swoboda synowicy jakąkolwiek u pani ma cenę, powinnaś pani przystać natychmiast.

Pickersgill się oddalił i w krótce potém miss Cecylja i mistriss Lascelles weszły do kajuty

z wyrazem srogiego oburzenia: były uprzedzone o wszystkiém i pani Lascelles powiedziała, że woli się skłonić na wypełnienie żądań smoglerów, aniżeli zostawić swoją biedną Cesię na dyskrecję podobnych ludzi. Cecylja błagała ciotkę tak natarczywie, [że ta nie domyślając się spisku, po licznych odmówieniach i łzach nakoniec zezwoliła.

Kiedy już wszystko było gotowe, Cecylja wyszła z kajuty, a Pickersgill zszedł na dół i pomógł dwóm damom wejść po stromych wschodach. Szalupa stała u bortu; weszli do niéj i odbili ku brzegowi. Wszystko się stało podług życzenia smuglera: mistris Lascelles i miss Ossulton, nastraszona okropnie, poszły z nim pod rękę do oberży w towarzystwie czterech wioślarzy, idących zdaleka. Ledwo tam przybyli, Corbett, czekający ich na brzegu, zapytał gospodarza gdzie jest lord Beauprey i przyszedł do nich. Damy udały się do drugiego pokoju, zdjęły z siebie kontrabandę, i Pickersgil zażądawszy wina i owoców zostawał tam jeszcze z godzinę i potém wrócił na statek.

Mistris Lascelles tryumfowała; nagrodziła swego nowego sprzymierzeńca smuglera, jednym ze swoich najsłodszych uśmiechów. Wspólne korzyści często bywają powodem najdziwniéjszych przyjaznych stosunków.

VII.

ZAKONCZENIE.

Teraz wroćmy do innych osób działających w małéj naszéj dramie. Lord Beauprey, rzeczywisty lord, po długiéj i trudnéj walce z dość silnym wiatrem i mocnym prądem ukośnym, nakoniec około północy dostali się do małego miasteczka w zatoce West-baj, skąd najętemi koń-

mi przyjechał do Portsmuth. Tam miał nadzieję znaleść swój jacht, nie spodziewając się wcale aby ten miał się dostać smuglerom. Przeczekawszy kilka dni napróżno, stracił nakoniec cierpliwość i udał się do jednego ze swoich przyjaciół, który miał także swój jacht w Coves. Puścili się się razem w celu znalezienia strzały.

Tender celny zostawiliśmy w pogoni za statkiem kontrabandystów. Z początku smugler wygrywał na przestrzeni, lecz ku wieczorowi wiatr się powoli zmienił, i tender został pod wiatrem smuglera, wtedy oba statki musiały pędzić ku wiatrowi i celny szybko przybliżał się do smuglera.

Morisson, widząc że ujść nie zdoła, spuścił w morze ankierki z dżynem, żeby nie uledz konfiskacie; lecz mając więcéj ludzi, jak prawem oznaczono, nie mógł być zupełnie bezpiecznym. Dla tego spodziewając że noc albo mgła pomogą mu umknąć, nie przestawał uciekać bez względu na kule celnego statku, szumiące w koło niego. Na nieszczęście jedna z nich zniosła maszt i statek kontrabandystów ostatecznemu u-

legł nieszczęściu. Celnicy wskoczyli na tender smuglera, i opanowali go. Morisson oświadczył że nadkompletni ludzie byli pasażerami, lecz naprzód, mieli ubiory majtków, a powtóre Appleboj opanowawszy statek udał się natychmiast do kajuty, dopijać swoje siedemnaście szklanek, i w żaden sposób nie można było mu się uprzykrzać.

Eleganty —smuglery, przepędziły noc bardzo niewygodną, i ponieważ tender przyszedł do Portland o świcie, wprzód więc nim się ocknął Appleboj, odwieziono ich na brzeg i oddano magistratowi miejskiemu. Hautaine oświadczył rzecz całą i goście lorda Beauprey byli uwolnieni natychmiast: niepozwolono im jednak oddalić się, aby byli świadkami przeciw smuglerom i udowodnili przysięgą, że mocne napoje znajdowały się na statku. Po téj ceremonnji odjechali w ubiorach majtków do Portsmuth, nacieszywszy się morską przejażdżką na rok cały. Mister Ossulton wykonał uroczystą przysięgą, żejeżeli mu się uda odzyskać na powrót swój tłomok, będzie się nadal starał nie wystawiać siebie na wystrzały celnych tenderów i nie sypiać na pokładzie pod gołém

niebem i brudnym przezroczystym płaszczem.

Tymczasem Morrison i jego ludzie zostali zamknięci w więzieniu, a stary wilk słysząc za sobą skrzyp klucza i rygli, uderzył w ziemtę nogą zwściekłości i zawołał! „Przeklęty siwy gołębiu!

Powróćmy znowu do jachtu.

W godzinę po powrocie Pickersgilla na jacht, przyjechał tam i Corbett, załatwiwszy sprawy z kontrabandą jak można najlepiéj. Niebezpieczeństwo odkrycia, zmusiło smuglerów podnieść kotwicę z Torqueay i puścili się podźagle przedpołudniem.

— Dokąd pojedziemy teraz milordzie? zapyła mistris Lascelles.

Mam zamiar spuścić się do Coves i wnocy rzucić tam kotwicę; na godzinę przed świtem przedsiewziąwszy wszystkie środki ostrożności dla bezpieczeństwa pań, choćiażbym miał sam siebie poświęcić, odwiozę panie na brzeg we własnéj mojéj szalupie. Uważałbym się za podłego, niegodnego jéj względów, jeślibym spro-

wadził chociaż cień nieprzyjemności na mistriss Lasceles lub miss Cecylją.

— Niespokojną tylko jestem że nie mamy żadnéj wiadomości o moim ojcu, rzekła Cecylja a z resztą jestem pewną że pan dotrzymasz swojéj obietnicy.

— Dotąd wypełniłem ją, miss Cecyljo, nie prawdaż?

— Nasza znajomość jest tak krótką i tak dziwną...

— Przyznaję, lecz za to ona dostarczy paniom na długo przedmiot rozmowy i opowiadań. Ja zniknę również nagle jak się ukazałem i zapewne nikt mię już więcej z państwa nie zobaczy.

Obiad dano i towarzystwo usiadło do stołu jak zwykle; tylko stara miss Ossulton za nic w świecie nie chciała się z nimi połączyć i pani Lascelles i Cecylja uważając już ją za dostatecznie nastraszoną, uprosiły Pickersgilla aby zostawił starą pannę w pokoju. Odtąd siedziała-ła sama w kajucie, i rozmyślała o poniżeniach na jakie narażoną była, siedząc u jednego stołu ze smuglerem pijąc z nim wino i przecha-

dząjąc się pod rękę znim po brzegu, z zakazanemi koronkami obwitemi do koła jéj dostojnéj postaci.

Wiatr ustał i jacht nie zdołał dojść do Portland przed rankiem, gdy nagle ukazał się idący zwolna przeciw nim drugi jacht, który ku południowi zbliżył się do strzały na odległość czterech mil. Wtenczas nastała martwa cisza, drugi jacht dawał sygnały, lecz Pickersgil nie mógł ich rozpoznać. Po raz ostatni mniemany lord Beauprey zasiadł z damami u stołu. Trzy dni spędzone razem z urodziwym, ukształconym i bardzo oryginalnym młodym kontrabandystą mimowolnie zbliżyły go z damami, które słuchały ze szczególném zajęciem jego opowiadań.

Lecz ani on, ani jego towarzysz nie przestąpili na krok za granicę surowéj grzeczności. Cecylja i mistriss Lascelles były niejako wdzięczne Pickersgillowi, pojmując bardzo dobrze na co by mogły być wystawione dostawszy się w inne ręce. Chociaż gorąco pragnęły uwolnić się ze swego dziwnego położenia jednakże zaufanie jakie w nich Jack wzbudził, zdziałało pewien stopień familjarności w obejściu się ze smu-

glerem, zawsze grzecznym i pełnym uszanowania. W czasie obiadu jeden z majtków przez znak wywołał Corbeta, ten w kilka chwil powrócił wzywając milorda na pokład aby rozpoznać jakąś banderę. Pickersgill przeprosił damy i wyszedł.

— Szalupa z tego jachtu kieruje na nas, rzekł Corbet: u rudla siedzi Stewat i sądzę, lord Beauprey.

— A ilu u nich wioślarzy?... Zaraz zobaczemy Tylko czterech? Dobrze, prosimy lorda i jego przyjaciela; skoro przypłyną niech nasi ludzie będą gotowi na każdy przypadek... Z reszta jeśli tak się urządzisz aby ich szalupa odbiła nie doczekawszy lorda, tém lepiéj. Powiedz o tém Adamsowi a sam powracaj na dół. Trzeba żeby lord zastał nas u stołu.

Pickersgill wrócił do kajuty. Ledwo Corbet zdołał dać potrzebne rozkazy i zająć swoje miejsce, lord Beauprey i Stewart przybyli do portu i wskoczyli na pokład: spotkały ich zupełnie im nie znane twarze; obejrzeli się w około z podziwieniem; nakoniec lord zwrócił się do Adam-

sa stojącego przed innemi z zapytaniem: „Kto wy jesteście?.

— Służymy na jachcie, dostojny panie.

— Lord Beauprey słyszał śmiechy w kajucie. Nie chcąc tracić czasu na wypytywauiu ludzi, podstąpił ze Stewartem do luki i ujrzał swoją córkę i mistriss Lascelles, rozmawiające jak rozumiał z Hautainem lub Ossaltonem.

Pickersgill słyszał jak szalupa przybiła do bortu i jak szli po pokładzie: umyślnie mówił głośniéj, dla tego żeby lord Beauprey zastał damy w tém położeniu jak były. Słyszał krok lorda i Stewarta u luki, wiedząc że każde słowo będzie od nich słyszane, zaproponował damom aby wypiły kielich szampana za szczęśliwe ich spotkanie z lordem Beauprey, ponieważ ostatni raz już ma on przyjemność obiadować z niem; na tym jachcie. Toast ten został przyjęty; Medox nalał wino; nagle, wtedy kiedy stukali kielichami, wchodzi do kajuty sam lord Beauprey ze Stewartem.

Cecylja wypuściła z rąk kieliszek. Rzuciła się ojcu na szyję, zalewając się łzami.

— Któżby przy tém nie życzył być ojcem?

rzekł Pickersgil, spokojnie siadając na swojém miejscu, oddawszy ukłon lordowi.

— A niech mi wolno będzie zapytać, kogo mam zaszczyt widzieć rozgoszczonego tutaj? zapytał lord gniewnym tonem, mówiąc przez głowę córki, która ciągle go jeszcze trzymała w objęciach. Na honor, Stewarcie, to jest przebrany kapitan smóglerów!

— Tak jest, milordzie, rzekł Pickersgill, pan opuściłeś swoj jacht ażeby mój opanować; zostawiłeś te damy na statku, na którym znajdowało się trzech tylko majtków, nikogo, ktoby umiał kierować okrętem i przyprowadzić go do portu..: Zginęłyby nie zawodnie. Odpłaciłem panu za złe dobrém, przybywszy tu z memi ludzmi i przyjąwszy na siebie dowództwo jachtu; téj nocy miałem zamiar rzucić kotwicę w Corves i bezpiecznie damy na brzeg wysadzić.

— Przysięgam!... zawołał Stewart.

— Wstrzymaj się pan, przerwał mu Pickersgill; proszę przypomnić żeście panowie raz już napadli na człowieka z którym nie mieliście nic do czynienia. Bardzo więc pan zo-

bowiążesz mię, wstrzymując się od nieumiarkowanych wyrażeń, których nie używałem, kiedyś pan był w mojéj mocy, i których znosić nie myślę.

Nie zapominaj pan także że jacht jeszcze w ręku smuglerów, i że pan bezkarnie w żaden sposób obrażać mię nie możesz. Milordzie, niech mi będzie wolno zrobić uwagę, że my mężczyzni, mamy nadto gorący charakter, i w zdarzeniach podobnych temu, nie możemy mówić z krwią zimną. Jeśli się panu podoba, zostawimy go z córką i z tą damą, aby mogły opowiedzieć panu szczegółowo jak to wszystko było; potém milordzie gotów będą wysłuchać wszystko co się waszéj dostojności podoba mi powiedzieć.

— Przysięgam na honor... zaczął znowu Stewart.

— Mister Stewart, przerwała Cecylja: ja proszę niech pan zamilknie. Jeśli to nie dość, a więc żądam tego.

— Zobowiążesz mię bardzo milordzie, dodała mistres Lascelles, zwracając się do lorda Beauprey, zgadzając się z życzeniem twéj córki.

Stewart nie mógł ochłonąć z zadziwienia, widząc damy trzymające stronę smuglera.

— Dziękuje pani za jéj pośrednictwo, rzekł Pickersgill: dla tego, że chociaż mogę siłą zmusić do zachowania się względem mnie przyzwoicie, bardzoby mi jednak nieprzyjemnie było, uciekać się do podobnych środków w waszéj obecności. Milordzie, czekam odpowiedzi na pokładzie.

Lord Beauprey był nadzwyczaynie zdziwiony. Potrzebował objaśnień; ukłonił się dumnie Jackowi, wszyscy, zdało mu się, nie są przy zdrowych zmysłach, a nawet on sam, nie wiedział dla czego ukłonił się smuglerowi!

Pickersgill i Stewart wyszli na górę i przechadzali się po pokładzie nie mówiąc ani słowa, podobni do dwóch psów chcących się gryść i wstrzymywanych głosém swych panów. Corbet chodził za nimi i mówił cóś półgłosem do Pickersgila. Stewart przeszedł na drugą stronę, żeby spojrzéć czy jest u bortu ich szalupa, lecz ta już dawno odbiła. Stara miss Ossulton słyszała głos swego brata, lecz nie wychodziła z damskiéj kajuty: chciała oka-

ła okazać więcéj powagi; przytém nie była pewną, czy rzeczywiście jacht przeszedł w ręce swego prawego właściciela, tém bardziéj, że z lordem Beauprey nikt nie był oprócz Stewarta i smuglery ciągle kierowały statkiem. Po niejakim czasie Pickersgill i Corbet poszli na bok i wkrótce wrócili stamtąd w swoim dawnym smuglerskim ubiorze.

Zaczęło się zmierzchać, jacht pędził wzdłuż brzegu. Latarnie przylądka Aignilles leżały od nich po prawéj stronie. Rozmowa między mistriss Lascelles, Cecylją i jéj ojcem, ciągnęła się bez końca. Kiedy już wszystko opowiedziały i zachowanie się Pickersgilla wystawiły z najlepszego punktu widzenia, lord Beauprey uznał że napadł na jego statek nie mając do tego najmniéjszego prawa i samo chcąc ściągnął na siebie całą tę nieprzyjemność; że w każdym razie, Pickersgil okazał wiele umiarkowania, i że nakoniec jacht mógłby zginąć gdyby go on nie opanował. Lord śmiał się z przestrachu i smuglerstwa swojéj siostry, śmiał się bardziéj jeszcze że gości jego zmieniono w kontrabandystów nakoniec tém się pocieszał, że nie jeden on bę-

dzie przedmiotém śmiechu w Londynie. Był bardzo zadowolony z zamiaru Pickersgilla, wprowadzenia jachtu do portu Coves, z jego uszanowania dla własności wszystkich i zachowania się względem dam. Słowem czuł dla Pickersgilla niejaką; wdzięczność a gdzie jest wdzięczność, tam i zgoda niedaleka.

— Lecz któż on jest, nakoniec? rzekła mistris Lascelles; sam wyznaje, że jego prawdziewe imie nie jest Pickersgill; powiedział mi nawet w zaufaniu, że pochodzi z dobrej familji.

— *W zaufaniu*, kochana misstris Lasceles, zarzucił lord ze znaczącym uśmiechem.

— O tak! obie jesteśmy jego powiernicami. Nie prawdaż Cesiu?

— W istocie, mistriss Lascelles; zdaje mi się że ten smugler zrobił wrażenie na pani, jakie wielu starało się uczynić naprózno!

Pani Lascelles nie odpowiedziała na tę uwagę, lecz zwróciła się do niego z zapytaniem.

— Teraz, milordzie, powinieneś pan osądzić, i przekonana jestem że osądzisz pan zgodnie z naszém życzeniem, czy należy postępować z nim tak jak on postępował z nami, czy nie?... to jest z największą grzecznością i uprzejmością.

— Pocóż nawet przypuszczać co innego? odpowiedział Beauprey. To się zgadza nie tylko z mojém życzeniem, lecz nawet z moją własną korzyścią; mógłby nas jeszcze wysadzić na brzeg francuzki, lub gdzie mu się podoba; jacht przecie w jego jest ręku.

— Tak, rzekła Cecylja, jacht jest w jego ręku, lecz pochlebiamy sobie, żemy nim rządziemy. Czy nie poprosić go tutaj, papo?

— Zadzwoń na Meddoxa... Meddox, powiedz panu Pickersgillowi, że życzę sobie mieć przyjemność pomówienia z nim i będę mu bardzo obowiązany, jeśli zechce zejść tu do kajuty.

— Komu milordzie?.., jemu? — Tak, jemu, rzekła śmiejąc się Cecylja. Nie zapominaj, że się jeszcze w jego mocy znajdujesz.

— A więc za pańskiém pozwoleniem, milordzie, pójdę i będę z nim mówił bardzo grzecznie... to zawsze jakoś bezpieczniéj.

— Pickersgill wszedł do kajuty. Damy się zdziwiły widząc go w grubéj smuglerskiéj odzieży, z odkrytą szyją, i czarną na niej chustką lekko i zgrabnie zawiązaną. Zdawał się im obrazem pięknego marynarza.

— Podobało się milordowi widzieć mię.

— Panie Pickersgill, czuję, że miałeś rzeczywiste powody mścić się na mnie, i żeś postąpił sobie tak umiarkowanie, jakby nikt może nie postąpił na jego miejscu. Dziękuję panu za pańskie istotnie szlachetne obejście się z damami. Zapomniałem o wszystkiém, za co się gniewałem na pana.

— Milordzie, zachwycony jestem pańską wspaniałomyślnością. Spodziewam się że nadal nie zechcesz się pan mięszać do naszych spraw smuglerskich. Jeden ze smuglerów przeszedł teraz koło nas,porozumiałem się z nim przez umowione nasze znaki i otrzymałem nieprzyjemną wiadomość, że statek mój został ujęty. Ponieważ pan, milordzie, byłeś przyczyną tego nieszczęścia, miałbym więc teraz zupełne prawo zawładnąć pięknym jachtem pana. Inny, możeby w gniewie wrzucił wszystkich was w morze, (Lord zbladł), lecz dałem słowo tym damom, że przyprowadzę jacht do Coves, i nie opuszczę go aż z przekonaniem o jego bezpieczeństwie. Niespodziane przybycie pana w tém tylko plan zmienia, iż powinienem otrzymać przyrzeczenie pańskie, milordzie, że po przybyciu do

Coves pozwolisz mnie i moim towarzyszom, opuścić bez przeszkody Strzałę, kiedy już stanie w porcie.

— Ręczę panu za to słowem honoru para! zawołał gospodarz. I prócz tego dziękuję panu, mister Pickersgil, z całego serca. Spodziewam się że pozwolisz ofiarować sobie więcéj rzeczywisty dowód mojéj wdzięczności?

— O! nie, milordzie.

W każdym razie, mister Pickersgill, jeżeli, w jakimkolwiek bądź względzie, mogę mu być użytecznym, gotów jestem zrobić dla niego wszystko cokolwiek jest w mojéj mocy.

Pickersgil nie odpowiedział.

— Ręczę za to, mister Pickersgill...

— Pickersgil!... nie nazywaj mię pan Pickersgillem, nie nawidzę tego imienia, rzekł smugler, wachając się. Daruj mi, milordzie... czy mogę prosić o wstawienie się za biednemi mojemi towarzyszami?

— A nie za panem samym, mister Pickersgill, przerwał, pani Lascelles.

— Pani, nie jestem już smuglerem.

— Na znak zadowolenia, rzekła Cecylja, z ja-

kiém słyszę tę wiadomość, misters Pickersgill, oto moja ręka i mój szacunek.

— I mój, rzekła pozrzewniona mistris Lascelles.

— I mój, rzekł lord powstając.

Pickersgill, głęboko wzruszony, wyszedł z kajuty.

— Jakżem szczęśliwa! zawołała we łzach mistris Lascelles.

— Przedziwny człowiek, rzekł lord. No teraz pójdźmy na górę.

— Ależ papa jeszcze cioci nie widział!

— Prawda, wstąpię do niéj i wnet przyjdę do was.

— Damy weszły po wschodach. Cecylja zaczęła rozmowę ze Stewartem i opowiedziała mu o całém zdarzeniu. Mistriss Lascelles usiadła na bakeborcie, opierając głowę na pięknéj swojej ręce.

— Mistriss Lascelles, rzekł Pickersgill: nim się rozstaniemy, niech mi wolno będzie powiedzieć, że to pani wyłącznie jesteś przyczyną że się zrzekam mego smuglerstwa.

— Dla czegóż ja? mister Pickersgill?

— Pani powiedziałaś że się to jéj nie podoba.

Mistris Lascelles uczuła całą moc téj grzeczności.

— Pan sam powiedziałeś przed chwilą, że mu nienawistném jest imie Pickersgill. Dla czegożeś je przyjął?

— To było moje smoglerskie nazwisko, mistriss.

— A teraz, kiedyś już pan porzucił niebezpieczne swoje rzemiosło, jakiém imieniem trzeba go nazywać?

— Nie mogę przyjąć prawdziwego mego imienia, nim się nie rozstaną na zawsze z wiernemi przyjaciołmi mojego *Dziecka szczęścia*, śmiałemi towarzyszami moich prac i niebezpieczeństw.

— Jednakże kiedykolwiek powinnam wiedzieć nazwisko pana; wiesz pan że ciekawość kobiety powinna być zaspokojoną. Spodziewam się że mię pan z czasem odwiedzisz. Oto mój adres.

Pickersgill przyjął go z niskim ukłonem, i mistriss Lascelles pospieszyła na spotkanie lorda Beauprey, który wychodził na pokład.

— W téj chwili jacht pędził mimo przylądku Aiguilles; Pickersgill nim sterował. Kiedy minęli miejsca niebezpieczne, całe towarzystwo zeszło do kajuty i lord Beauprey prosił Pickersgilla i Corbeta, aby spełnili pożegnalną czarę. Stewart uwiadomiony przez Cecylją o wszystkich szczegółach ich żeglugi, wielki okazywał szacunek Pickersgillowi, i wypatrzywszy chwilę, oświadczył mu że bardzo żałuje iż przez swoje nieumiarkowane uniesienie zrobił mu nieprzyjemność. Wszyscy byli w najlepszém usposobieniu; wszyscy byli weseli, tém bardziéj że stara miss Ossulton oświadczyła że nie wyjdzie z kajuty, dopóki jéj nie powiedzą że już może wysiąść na brzeg z przeklętego jachtu.

O dziesiątéj, Strzała rzuciła kotwicę. Pickersgil po przyjacielsku pożegnał towarzystwo i wysiadł z ludzmi swemi na brzeg, a lord Beauprey objął znowu zupełne dowództwo na swoim jachcie, chociaż nie było przy nim żadnego człowieka z komendy. Meddox ochłonął z przerażenia, i kucharz machając nożem przysięgał, że chciałby raz jeszcze w życiu

spotkać się z tym krwiożerczym smuglerem, któ-
ry go przymusił robić kotlety po mandaryń-
sku.

Jacht trzy dni stał w Coves. Lord Beauprey otrzymał tu jeszcze list od Pickersgilla, zawiadamiający go że tender kontrabandy istotnie został schwytany, że ludzie jego są uwięzieni i pewno sądzeni będą, za to, że dali mimowolnie sposobność lubownikom żeglugi na jachtach spacerowych, widzieć jak się ankierki spuszczają do morza. Lord Beauprey swoim wpływem i pieniędzmi ukończył pomyślnie tę sprawę i smuglery zostali uwolnieni.

We dwa lata po tém zdarzeniu, miss Cecylja Ossulton, siedziała przy krosienkach w grubéj żałobie po swéj ciotce. Szwajcar przyniósł jéj list. Był on pisany przez jéj przyjaciółkę mistriss Lascelles która doniosła, że weszła w powtórny związek małżeński, z niejakim panem Davenant i ma zamiar gościć u Cecylji kilka dni przed wyjazdem na ląd stały. Następnego dnia mistriss i mister Davenant przyjechali, i była wdowa, przedstawiając Cecylji swojego męża, rzekła:

— Przypomnij sobie, moja droga, czyś nie widziała przedtém kiedy mojego Davenanta?

Dziewica wpatrywała się z wielką uwagą. Nakoniec krzyknęła i podała mu rękę.

— To on!... Jakżem szczęśliwa że go znowu spotykamy!

Ten mister Davenant, jak się domyślacie, był wasz stary znajomy, kapitan Dziecka szczęścia, smugler Jack Pickersgill.



FLORITA.

I.

Pewnego wieczora w roku 1641, wielu kawalerów przebywało aleję w Prado, i postępowali w ulicę Alcala rozmawiając o wypadku który wtenczas zajmował dwór Filipa IV i całą publiczność Madrytu. Rozmowa ich była bardzo ożywiona, ale nie mowili oni w owéj

chwili ani o buncie katalońskim, ani o rewolucji która księcia Braganca osadziła na tronie portugalskim, rozmawiali bowiem o towarzystwie spiewaków którzy obecnie przybyli z Włoch, i którzy dniem pierwéj mieli zaszczyt swojemi talentami bawić króla. Prożniacy całego miasta i dworu, nie rozmawiali jak tylko o pierwszéj spiewaczce i oznajmiali sobie, jak jaką ważną wiadomość; że ci włoscy spiewacy zostali zamowieni na sześć miesięcy do teatru de la Cruz.

— Na świętego Jakuba! zawołał jeden z najzapaleńszych wielbicieli zagranicznych spiewaków, wątpię aby w raju można pięknicjszą usłyszéć muzykę! słyszałem najmniej ze sto oratoriów nie tylko w kaplicy krolewskiéj ale nawet we wszystkich katedrach Hiszpanji, i utrzymuję że pomiędzy tym tłumem śpiewów, nie było żadnego któryby mógł być porównanym z głosem *Graziolo Marino.*

— A ja, rzekł inny z zapałem, utrzymuję, że nie ma w całéj Hiszpanji, a nawet w całym świecie, głosu jaki ma piękna Magdalena; jaka słodycz, miękkość, giętkość... jest to deszcz zło-

ty,... nawet święta Cecylja nie zdoła tak pięknie spiewać... oh! byłem jak w niebie!... niech żyje Magdalena, pierwsza spiewaczka w świecie!...

— Niech żyje Magdalena!... powtorzyli jego towarzysze z zapałem.

Natenczas jeden z kawalerów który dotąd słuchał w milczeniu tej rozmowy, potrząsając wątpliwie głową, czego nikt nie zważał, zatrzymał się i rzekł z żywością.

— Ale ona nie śpiewa, i nie będzie nigdy śpiewać po hiszpańsku.

— Czy być może? ktoż ci to powiedział, don Pedro, zapytali wszyscy.

— Ona sama, moi panowie, ona sama, gdym dzisiejszego poranku ofiarował jéj rolę w operze do któréj wczoraj napisałem słowa, a don Blas Minco ułożył muzykę...

— Jakto? odrzuciła rolę ofiarowaną jéj przez autora tylu dzioł zachwycających?

— Tak jest, odrzuciła, przysięgając że nigdy spiewać nie będzie tylko po włosku, i to wyrzekła tonem oschłym i wspaniałym, jak królowa pewna swego panowania, Powiedziałeś pan

że ona jest najpierwszą spiewaczką świata, talent jest to najwyższa potęga przed którą wszystko powinno zginać kolana.

Na te słowa wymowione z niejakiém szyderstwem, rzeczony kawaler poruszeniem ręki pożegnał towarzystwo jakby nie chciał dłużéj należéć do rozmowy, i udał się aleją prowadzącą do bramy d'Atocha. Noc była ciemna o dwa kroki nie można było rozpoznać przedmiotów. Kawaler wszedł do miasta i przebywał zwolna samotne ulice prowadzące do klasztoru świętéj Jzabeli, szedł nie myśląc o żadnym wypadku, mówiąc z cicha do siebie niekiedy podniósł głowę w górę jakby chciał gwiazdy policzyć. Widząc jego zamyślenie, słysząc go rozmawiającego z sobą, można rozumiéć że to jest poeta lub nie szczęśliwy kochanek. Długo postępował nie spostrzegając że się zabłąkał w najodległéjszej części Madrytu, i że był daleko od Plaza-Major gdzie właśnie znajdowało jego pomieszkanie. Nakoniec ocknąwszy się z swoich marzeń zawołał.

— Najświętsza panno! zdaje mi się żem się zabłąkał. W téj chwili dziesiąta godzina uderzyła, kawaler postąpił kilka kroków, i znalazł się w ciemnym zakącie, utworzonym z rozmaitych

schodzących się uliczek, między któremi nie mógł rozpoznać téj którą się tu dostał. W wysokich domach gdzie niegdzie tylko opatrzonych oknami, błyszczało blade swiatło czuwających jeszcze mieszkańców, składających się z biednego pospólstwa i żebraków. Drzwi bez zamków dozwalały swobodnie przebywać ciemne kurytarze o nocnéj godzinie, można było powiedzieć że wszystkie domy były puste, grobowa cichość tam panowała, żadnego głosu ludzkiego nie było słychać, czasem tylko szczekanie psa przerywało to milczenie. Słabe światło pośród ciemnéj nocy błyszczało na ulicy, była to migająca lampka która jak morska latarnia jaśniała na rogu domu, — przed obrazem matki Najświętszéj, — która z wysokości swojéj framugi z litością zdawała się spoglądać na biednych przechodniów.

Kawaler, pobożny jak wszyscy Kastyljanie, zdiął kapelusz, odmówił Ave Marja i usiadł na kamiennéj ławie naprzeciw framugi, aby odpocząć i zobaczyć w pudełku czy nie zostało jeszcze z czego zrobić cygaro.

W téj epoce Madryt był obfity w nocne wy-

padki, rozkochani, i złodzieje panowali na ulicach, od północy aż do świtu, i częste tam staczano walki, pierwéj nim policja mogła temu zapobiedz. Ale w téj samotnéj części miasta, nie odbywano ani pojedynków ani serenad, i kawaler nie obawiając się żadnego wypadku, obejrzał się w koło siebie, aby dojść gdzie się znajduje, obwinął się płaszczem i zaczął filozoficznie palić cygaro. — Swiatło gorejącéj lampki wprost padało na jego twarz i czyniło go podobnym, do obrazu odmalowanego na czarném tle. I wistocie jego postać i ubranie, wiele się rożniły od biednych mieszkańców, puerta des Embajadores. Jego czarny płaszcz z cienkiego sukna, dozwałał czasem ujrzéć jedwabny kaftan, na przodzie którego wyszyty był czerwony krzyż Sant Jago, na krótki kolet spadał podwójnie opasany łańcuch na końcu którego wisiał obraz matki Najświętszéj z Guadalupy. Kapelusz z szerokiemi skrzydłami zakrywał nieco jego twarz pełną wyrazu dobroci, dowcipu, i okazującą blisko lat czterdziestu. Rozmyślał właśnie teraz nad Magdaleną, która wzgardziła rolą w jego sztuce, i powziął zamiar zemsty.

— Eh! eh! nie byłoby źle cokolwiek upokorzyć te królowę teatralną, rzekł do siebie: chciałbym aby za dwa miesiące przyszła mnie prosić na kolanach abym jéj napisał rolę, o! długobym się dał błagać, niżelibym ją jéj powierzył! chciałbym napisać dzieło na ktoreby cały Madryt biegał, i wtenczas kiedyby grali moję komedję, życzyłbym sobie aby towarzystwo włoskie spiewało dla pustych ławek teatru de la Cruz. Ah! Magdaleno! odrzucić rolę w moim Orfeuszu!... no... dobrze... zobaczemy... będziesz tego żałowała, albo ja się nie nazywam Calderon de la Barca. W téj chwili odgłos muzyki który zdawał się wychodzić z okien na dole będących, nagle przerwał jego monolog, grano na jakimś instrumencie stronowym a jego miły odgłos niespodzianie przerwał nocną ciszę. Po krótkiéj przegrywce dał się słyszeć głos kobiécy.

— Najświętsza panno! rzekł z cicha Calderon de la Barca podnosząc ręce z uczuciem podziwu i zachwycenia, cóż to jest!..

Żaden głos nie sprawił tak mocnego wra-

żenia na sercu kawalera, słuchał z największą uwagą hymnu do Najświętszéj panny, podczas powolnegu Adagjo, Calderon de la Barca przybliżył się do domu z którego głos wychodził i oparł się o kamienną ławkę stojącą przed otwartemi drzwiami: Pomysł zemsty przez napisanie bochaterskiéj komedyi któraby przez sześć miesięcy zdołała ściągać widzów, zastąpiła myśl więcéj sprzyjająca jego zamiarom, wynalazł bowiem rywalkę włoskiéj śpiewaczce i postanowił wszelkich użyć środków aby wystawić swego Orfeausza bez pomooy Magdaleny. Obszedł na około wspomniony dom aby mógł spamiętać drogę i miejsce. Wreszcie biorąc nagłe postanowienie, wszedł odważnie do domu i zadzwoniwszy zapytał głośno.

— Hola jest tu kto?...

— Kto tam? zawołał jakiś głos z głębi kurytarza, i blade światło zabłysło na ścianach.

— Kawaler de Santjago, który się zabłąkał w tym labiryncie, i który szuka nici po któréj, by mógł się z niego wydobyć na dobrą drogą, odpowiedział Calderon i jeżeli tu się znajduje jaka dobra i chrześcijańska osoba, na imie Nieba niech się pokaże...

Nastąpiło milczenie, nakoniec drzwi będące w końcu kurytarza otworzyły się i ukazała się w nich kobiéta już podeszła, bardzo ubogo ubrana, trzymająca lampę w ręku,

Kawaler zdjął kapelusz i rzekł z grzecznością. Niech Bóg będzie z wami, dobra pani zabłądziłem w téj części miasta, któré nie znam, chociaż już od lat dwudziestu mieszkam w Madrycie, nie wiedziałem kogo zapytać o drogę, rozumiałem, że tu nie ma żyjącéj duszy gdym niespodzianie usłyszał głos którego boska melodja aż tutaj mnie przywiodła. Czyż to pani spiewałaś?

Biédna kobiéta kłaniając mu się z uszanowaniem, rzekła uśmiechając się. Nie, panie, to moja córka.

— Na moją duszę, ona ma głos tak piękny, jakiego w życiu mojém nie słyszałem. Byłbym bardzo szczęśliwym gdybym mógł powrócić aby lepiéj jéj talent osądzić, jutro panią odwiedzę jeżeli na to pozwolisz, aby się dowiedzieć gdzie jestem i kto wy jesteście.

— Panie odrzekła kobiéta zdziwiona i prawie drżąca, jesteś pan na ulicy Mira-al-Sol, blisko bramy Em bajadors. — Ja jestem biedną

wdowa, moje szczupłe fundusze zmuszają mnie mieszkać w tych stronach,, nazywam się Ana Müler, — czy to już dosyć na wasze usługi.

— Dość dobra damo! już rozpoznałem moją drogę, wyprowadziłeś mnie pani z kłopotu, niech wam Bóg odpłaci. — Kawaler ją pozdrowił, i oddalił się.

II.

Nazajutrz rano Calderon de la Barca, bez trudności poznał że się znajduje na końcu uli-cy Embajadores, gdzie dniem pierwéj zabłąkał się, trafił do razu ua uliczkę Mira-al-sol, którą zapewne tak nazwano przez szyderstwo, ponieważ niewidziano tam słońca tylko w południe.

Wszedł więc w najubozsy i najmniéjszy dom i zapukał do zamkniętych drzwi które dniem pierwéj były otwarte. Ana Müler ukazała się jakby oczekiwała jakich odwiedzin ponieważ była ubraną w czarnéj sukni i czepku załobnym. Była to kobieta któréj twarz nosiła cechę prostoty i powagi, musiała kiedyś być piękną ale cierpienia i nędza wyryły na jéj twarzy zmarszczki które ją starszą czyniły niżeli była w istocie, miała postać pokorną i bojaźliwą istoty która nie żyie ze światem.

— Szanowna damo, rzekł Calderon widzisz że umiem dotrzymać słowa.

— Witam cię panie, odpowiedziała prowadząc go do sali ciemnéj i prawie pustéj, w głębi któréj widać było drzwi zasłonięte firanką. Calderon usiadł na krześle pokrytém skórą które mu ceremonjalnie Ana Müler podała, obejrzał się w około zdziwiony tem co widział i przyjęciem jakiego doznał ze strony Any Müler, sprzęty okazywały wielki niedostatek, dwa albo trzy siedzenia urządzone przed kulawym stołem i naczynia będące w szafie przytwierdzonéj do muru okazywały że nie raz w tym ubogim mieszkaniu żyli wodą i chlebem. Ale na przeciw okna stał

mebel który mógłby jaśnieć w pierwszym salonie Hiszpańji, był to fortepian ozdobny bronzami i srebrem.

— Na honor, cudowny instrument, zawołał z podziwieniem Calderon.

— Jest to arcydzieło mojego biednego męża, rzekła stara kobieta ze smutném uczuciem, pracował nad niém dziesięć lat swego życia.

— A więc mąż pani budował instrumenta?

— Tak jest, panie, był przytém bardzo muzykalnym i wszyscy którzy go znali przyznawali mu wielki jeńjusz; jest temu lat dwadzieścia, jak tu przybył z swego kraju to jest z Niemiec, powiedziano mu bowiem że w Madrycie najbardziéj kwitną sztuki piękne. I w istotnie z początku szło nie źle, pracował on dla wszystkich kościołów, i właśnie w owym to czasie pobraliśmy się. Ale Millera pomysły i wynalazki wzbudziły zazdrość w jego współbraciach, liczne z tego powodu zmartwienia zniechęciły go i odebrały mu odwagę; poprzestał szukać roboty, i od tego czasu zaczęły się nasze nie szczęścia.

— Jednakże nie przestał pracować rzekł Calderon zwracając oczy na fortepian.

— Tak jest, zawsze pracował i pocieszał naszą nędzę nadzieją, robiąc swoje arcydzieło.

Mówiąc to Ana Müler powstała aby zetrzeć kurz pokrywający powierzchnią fortepianu mówiąc z wyrazem melancholicznym.

— Tu się zawiera historja naszego życia od lat dziesięciu, każda cząstką tego fortepianu przypomina mi czasy, w których mężnie znosiłyśmy niedostatek, aby tylko Mülerowi nie brakło potrzebnych pieniędzy na ukończenie swego dzieła, nieraz przepędzał bezsenne noce aby wynaleść i ulepszyć tony i nadać im wdzięk i słodycz. Ale zdrowie Mülera nie mogło wystarczyć takiéj pracy, igdy ukończył swoje arcy dzieło, siły go opuściły, zasłabł, i już nie było żadnéj nadziei. — W wilją swej śmierci wyspowiadawszy się rzekł do mnie:—Ano, jesteś zacną kobietą i spodziewam się że wypełnisz moją ostatnią wolę, nic wam nie zostawiłem tylko ten fortepian, jest to posag naszej córki, nie sprzedawaj go za niższą cenę jak za dwadzieścia tysięcy realow jest on więcej wart.... Byłam mu posłuszną, nieraz cierpiałam głód, zimno, moja corka była słabą, jednakże nie chciałam sprzedać pracy Mülera za ofiaro-

wane mi dziesięć tysięcy realow; wielu ludzi nazywało mnie szaloną, ale nieżałuję przecieżem tak postąpiła.

Mówiąc to zbliżyła się do fortepianu i spoglądała na niego z wyrazem uczucia i poszanowania, jak artyści patrzą na dzieła swojéj wyobraźni i serca, a pobożni na relikwje. Calderon milczał, opowiadanie téj biednéj kobiety, wzruszyło go, uwielbiał jéj stałość i poświęcenie się i dziwił się widząc w kobiecie niższéj klassy spobób mówienia i obejście, zapowiadające wyższe wychowanie.

— Przebacz panie, żem śmiała tak utrudzać cię zbyt długiém opowiadaniem naszych nieszczęść, rzekła wdowa, powinnabym była najpierwéj zapytać z jakiego powodu zaszczycasz nas pan swoją obecnością.

— Jeszczem pani wczoraj powiedział, że pragnę usłyszéć głos jéj córki, który z daleka zdawał mi się nieporównany.

Ana Müler zastanowiła się przez chwilę, poczém rzekła z największém uszanowaniem: Pa-

nie, nim mu przedstawię moję córkę, chciéj mi pan powiedzieć z kim mam zaszczyt mówić.

— Nazywam się Pedro Calderon de la Barca odrzekł z uśmiechem.

Na to imie tak znane, na imie najsławniéjszego autora dramatycznego w owéj epoce, które codziennie czytano na drzwiach wszystkich teatrów, na rogach wszystkich ulic Madrytu, na to imie okryte tylu oklaskami, Ana Müler zawołała: Don Pedro Calderon tutaj, w moim domu! Panie, mój mąż był jednym z najzapaleńszych twoich wielbicieli! on nas zaprowadził aby podziwiać *le Mercader de Toltde* i ową sławną komedję: *Para vencer amor querer vencerle*. Boże! jakiż był natłok i jakie uniesienie, jakie oklaski.

Poszła potém spieszno i uchyliła drzwiczek prowadzących do drugiéj izby.—Pójdź mojà córko, rzekła, pójdź zobaczysz Don Pedra de la Barca.

W téj chwili ukazała się młoda dziewczyna i postąpiwszy na środek izby powitała gościa z bojaźnią i uszanowaniem.

— Panie, rzekła wdowa spoglądając na swo-

je dziecko z uśmiechem radości, oto jest moja córka, Flora Müler, jest ona uczennicą swego ojca i możnaby powiedzieć że w tym czasie poznała muzykę, w którym zaczęła mówić.

— Tym się też sposobem tworzą wielcy artyści, rzekł Calderon z zapałem. Pani córka już jest wielką artystką, jestem tego pewny,i z niecierpliwością pragnę usłyszéć jéj głos.

— Zacznij więc moja córko, rzekła matka prowadząc ją do fortepianu.

Młoda dziewczyna była drżącą i jakby zawstydzoną obecnością nieznajomego, biedne dziecko, żyjąc w zupełnéj samotności, czasem i przez cały miesiąc nie słyszała innego głosu oprócz swojéj matki, i nie widziała męzkich twarzy, wyjąwszy na mszy, któréj co Niedziela słuchała bardzo rano w klasztorze Świętéj Izabeli. Usiadła ze drżeniem, i uderzyła jedną ręką kilka akordów, spoglądając ukradkiem i bojaźliwie w około siebie. Calderon słuchał i uważał z największém zajęciem i ciekawością.

Florita nie była piękną, ale miała o-

na jedną z tych twarzy, których się nigdy nie zapomina, jéj postać była szczupła jak gdyby zbyt prędko wyrosła, w jéj poruszeniach zostało nawet jeszcze coś dziecinnego, ale jéj fizjonomja zapowiadała rozwinięte władze umysłowe, prawdziwy dowcip, serce czułe i stałe. Czarne włosy spadały w szerokich promieniach na jéj szyję, oczy zdobiły długie rzęsy, czoło wyniosłe, a blady szkarłat jéj twarzy był podobnym do bladéj roży rozwiniętéj w cieniu. Gdy jednak wzniosła oczy, gdy jéj twarz ozdobiło wyższe jakie uczucie, natenczas była piękną...

— Śpiewaj moja córko, rzekła Ana Miiler zachęcając ją spojrzeniem — czy ci podać nóty.

Wzniosła głowę, przesunęła obie ręce po czole, poczém zaczęła śpiewać, towarzysząc sobie tylkokilkoma akordami. Jéj głos z razu słaby, w krótce nabrał nieporównanego brzmienia i rzadkiego uczucia. Calderon prawie nie oddychał, oparty na poręczy krzesła, wlepił oczy w Floritę i zdawał się gubić w rozkoszy i nieskończoném uwielbieniu.

— Dobrze moja córko, dobrze, rzekła Ana Müler, gdy Florita pierwszą część skończyła.

— Ah! to godne uwielbienia, zawołał Calderon powstając i całując z uszanowaniem delikatną i bladą rękę Flority. Potém dobył zwitek nót które z sobą przyniósł i rzekł: Najszczęśliwszym będę jeżeli pani raczysz to zaśpiewać.

Była to wielka arja Magdaleny — jéj trzyumf!

— Z chęcią, odpowiedziała Florita z uśmiechem, ponieważ mniemała że chce sądzić o jéj talencie jak inni muzyczni artyści. — Gdy przespiewała, Calderon obrócił się do Any Miiler i rzekł.

— Pani córka jest pierwszą śpiewaczką w całéj Hiszpańji, a może nawet i w całym świecie, ma w swoim głosie, nadzieję, chwałę i majątek. Czy chcesz pani aby wystąpiła w teatrze?

Ana Miiler wzniosła ręcę z uczuciem bojaźni i radości.

— To do mojéj córki należy, odpowiedzieć czy się na to zgadza.

— Moja matko, czyliż mój ojciec nie sposobił mnie abym została wielką artystką? czyliż nie mawiał że jedyném życzeniem jego jest abym słynęła z mego talentu, czyliż mi nie przepowiadał tyle szczęścia i chwały o jakiéj nawet nie mogę pomyśléć? niech się więc stanie jego wola!... tak moja matko, będę śpiewać w teatrze.

— Eh! viva! wykrzyknął Calderon, będziesz pani miała rolę w moim Orfeuszu, zaćmisz sławę Magdaleny i wszystkich śpiewaczek włoskich, przyrzekam ci to. Ja się zajmę twojém wystąpieniem i jutro i dziś jeszcze opuścisz ten dom.

— Jezus Marja! rzekła Ana Müler, patrząc w oczy Calderonawi, jest że to sen?... Ale panie, jakże się ludziom pokazać... mając tak biedne ubranie...

— Już powiedziałem że się wszystkiém zajmę, będziecie miały suknie... meble... pieniądze...

— Matko Najświętsza, kto nam da to wszystko.

— Talent twojéj córki.

Florita nie słuchała więcéj, zwolna tylko wzrokiem przebiegła salę jakby się żegnała z swoją nędzą, potem opierając się o fortepian rzekła.— Moja matko, nic ztąd nie weźmiemy, tylko to arcy-dzieło mego ojca, i choćby nam dawano za nie sto tysięcy realów, nie sprzedamy go nigdy.

Florita nie słuchała więcej, zwolna tylko wzruszona przechylała się jakby się żegnała z swoją arfą, potem opierając się o fortepian rzekła: — Moja matko, nic złego nie wcześniej, tylko to arcy-dzieło mego ojca, i choćby nam dawano za nie sto tysięcy realów, nie sprzedamy go nigdy.

III.

W miesiąc po tym wypadku teatr de la Cruz był natłoczonym. Tego właśnie wieczora Florita Miiler miała piewszy raz wystąpić w nowéj sztuce Calderona de la Barca. Dwór i całe miasto zebrały się aby osądzić rywalkę Magdaleny, zapaleni wielbiciele śpiewaczki

włoskiéj, litowali się nad biednėm dzieckiem odważającém się rywalizować z talentem któremu wyrównać nie można, inni zaś byli za protegowaną przez Calderona de la Barca, i usiłowali osiągnąć pożądany skutek, przytém chęć utrzymania chwały narodowéj, była powodem iż wszyscy pragnęli aby Hiszpanka przewyższyła włoszkę.

Obszerna sala w któréj wznosiły się tysiące głów zajętych ciekawością, nie dość była oświeconą, ale mnóstwo bogatych toalet, brylantów, i bukietów, zdawały się oswiecać widzów swoim blaskiem. Orkiestra była już na swoich miejscach a za kurtyną słyszano szmer podobny szmerowi na sali, tak, jak by połowa widzów była za kulisamy.—I wistocie ławki na przodzie kulis był już oblężone przez wybór widzów, i uprzywilejowanych amatorów.

Nakoniec zasłona podniosła się, i grobowe milczenie zaległo całą salę. Scena była słabo oświecona woskowém światłem, papierowa dekoracja przedstawiała skały Tracji, a kilka drzew zielonych również na papierze malo-

wanych, wyobrażały las. Taka to była swietność wystawy w owéj epoce.

Wszystkie osoby dotąd nieruchome i oczekujące, teraz zwróciły oczy na scenę jeszcze pustą. Orkiestra wykonywała jeszcze uwerturę której wszyscy słuchali z głęboką uwagą. Florita która miała wystąpić w pierwszej scenie, stała w kulisach w towarzystwie swojéj matki i Calderona de la Barca. Nikt z nich nie przemówił słowa, młoda dziewczyna była bladą i drżącą, mając zwrocone oczy na scenę, przyciskała założone ręce na piersiach jakby chciała wstrzymać bicie swego serca. W téj chwili była piękna, ubrana w białą suknię, strojną liściami zielonemi, jéj włosy rozpuszczone czyniły ją podobną do bojaźliwéj Eurydyki którą miłość szukała w otchłaniach piekła.

Gdy orkiestra już kończyła ostatnie akordy uwertury, Calderon de la Barca wziął za rękę Floritę i rzekł jéj z cicha.

— Śmiało... zobaczemy.

Florita drżała, zdawało się jéj że widzi przepaść otwartą przed sobą.

— Oh! mówiła z cicha, jakże się boję!..

— Florito! droga Florito, wołał Calderon, za-

klinam cię bąć odważną!... czylisz nie jesteś pewną swego talentu i tryumfu?... myśl o przyszłości! o szczęściu i o chwale!

Młoda dziewczyna obtarła zimny pot z czoła, westchnęła głęboko i zdawało się w téj chwili że ją życie opuszcza.

— Śmiało! śmiało! dla szczęścia i sławy! powtórzył Calderon.

— Dla mojéj matki!.. odrzekła z ciężkiém westchnieniem obracając się do Any Miiler.

I w téj chwili weszła do na scenę.

Ana Miiler również blada i drżąca jak jéj córka, pochyliła się na ramie Calderona, kolana jéj uginały się, chciała widziéć i słyszéć, ale jakaś zasłona okrywała jéj oczy, zdawało się jéj że córka spiewa fałszywie... i była prawie umierającą, Calderon słuchał z uwagą i także był w obawie, i wlepił wzrok w Floritę. Ale ta niepewność, ta bojaźń zniknęła. Florita spiewała wpośród najgłębszego milczenia, słuchacze prawie nie oddychali, gdy nagle ogromny odgłoś oklasków powitał wschodzącą jutrzenkę teatru de la Cruz. Ta pierwsza próba była wystarczającą i Magdalena została zwyciężoną. Po

chwili Florita weszła za kulisy, zmieniona i wzruszona.

— Matko moja! rzekła rzucając się w objęcia Any Miiler, — Droga matko moja; rozumiałam że umrę.

— Niech żyje Florita! zawołał Calderon z zapałem całując jéj ręce, otóż to jest najpiękniéjsze wystąpienie jakie w życiu mojém widziałem!

Młodzi panowie siedzący na boku sceny, powstali aby powinszować młodéj debiutantce, która z niemym uśmiechem i radością dziękowała za czynione jéj zaszczyty...

— Mości panowie! zawołał Calderon tryumfując, teraz możecie powiedziéć śmiało, że pierwszą śpiewaczką świata jest Hiszpanka!

Opera *Orfeusz* zakończyła się okrzykami uwielbienia, a publiczność uwieńczyła autora i młodą śpiewaczkę oklaskami posuniętemi do szaleństwa prawie. Najdawniejsi wielbiciele teatru nie pamiętali takiego tryumfu. Nawet la Calderona, ta kobieta tyle kochana od Filipa IV nie miała dnia w którymby tyle odniosła tryumfu ile Florita.

Od tego dnia, jak Calderon przewidział, towarzystwo włoskie, śpiewało dla pustych ławek, i Magdalena przyszła prosić autora Orpeusza o rolę ktoréj jéj nawet nie przyobiecał. Była to odmiana niesłychana dla biednéj wdowy i młodéj dziewczyny, która tak długo żyła w nędzy i ubóstwie. Była teraz bogatą, szczęśliwą jednakże te powodzenie nie zaślepiło ich. Ana Miiler była zawsze spokojną i godną kobietą, jak wczasach kiedy z wytrwałością znosiła swoje ubóstwo, a Florita zawsze uległą swéj matce, wierną swoim obowiązkom i zamiłowaną w swojéj sztuce.

W dniach w których Florita występowała, rozbijano się przy drzwiach teatru, każdy akt był jéj tryumfem, a w ostatniéj scenie deszcz bukietów padał u jéj stóp któremu grzmot oklasków towarzyszył. Natenczas wzruszona, drżąca, zbliżyła się do publiczności, i z wdziękiem trudnym do opisania, dziękowała za względy jakiemi ją obsypywano. Gdy zapadła zasłona, spieszyła do matki, która szczęśliwa i zachwycona z pełnemi łez oczami rzekła:

— Ah jakże pięknie śpiewałaś Florito, ileż odebrałaś oklasków.

Było to życie pełne uroku i szczęścia, dnie upływały w pośród tryumfów które nawet zazdrość szanowała. Florita miała dowcip i elegancję wrodzoną, lubiła wszystko co tylko zgadzało się z dobrym tonem, była więc na szczycie szczęścia swego nowego położenia. — W pośród jednak tego blasku przypominała sobie niekiedy dawną nędzę, porównywała swoje świetne apartamenta de la Plaza Major, z cichém i ubogiém pomieszkaniem na ulicy Mira-al-Sol. Często siedząc przed fortepianem który zajmował najpierwsze miejsce w sali, mawiała wzdychając do swojej matki.

— Niestety! gdyby mój ojciec żył jeszcze!

— Bóg nie daje tyle razem szczęścia na świecie, odpowiadała matka ze stałością.

Po pierwszych powodzeniach Flority, cała dworska młodzież żądała być jéj przedstawioną, wszystkie pierwsze damy, zapraszały ją aby raczyła śpiewać na ich świetnych wieczorach, gdzie zgromadzały się najwyższe towarzystwa Madrytu, ale Ana Miiler usuwała się od tego wielkiego świata, do którego jéj córka nie

była powołaną; jéj instynkt macierzeński, i przezorność jéj mówiły, że te tak świetne towarzystwa są niebezpieczne dla Flority, i że w tym nowym stanie w jakim ją opatrzność umieściła, powinna tylko żyć dla swojéj sztuki i dla publiczności która ją tyle uwielbia. Wiedziała ona dobrze że chodziło tu o spokojność i dobrą sławę Flority, zapobiegła więc mogącym wydarzyć się nieszczęściom, i ta śpiewaczka o któréj cały świat mówił, za któréj każdym krokiem wszyscy się tłoczyli, ta mówię śpiewaczka, nie wychodziła ze swego domu tylko do teatru i na mszę.

Jeden tylko człowiek żył ściśle złączony z tą rodziną, był to Calderon de la Barca. — Był on doradcą i przyjacielem tych dwóch kobiet, były mu one wszystko winne i zawsze mu to przypominały okazując mu swoją wdzięczność. Często Ana Müler mawiała mu: Gdy będę umierać poniosę z sobą do grobu to słodkie przekonanie że moja córka nie zostanie sama na świecie, wiem że zostawię jéj w twojéj panie osobie, protektora, przyjaciela, i drugiego ojca.

— Tak jest drugiego ojca... kocham ją jakby była moją córka, odpowiedział wzdychając biédny Calderon.

Florita dopiero rok była w teatrze, a już doszła do najwyższych granic swego talentu; i sztuki. Jeńjusz tego dziecięcia dociekł wszelkich odcieni rozmaitych uczuć, wiedziała jak poruszyć najdelikatniejsze strony duszy ludzkiéj. Wyrażała z całą prawdą miłość, zazdrość, boleść, sprawując niewymowne wrażenie na wszystkich sercach, ale jeszcze nieznała, tych uczuć które z taką dokładnością oddawała, bo jeszcze nie kochała. Jednakże już wiele wznieciła miłości, nie jeden bogaty kawaler pisał do niéj listy które Ana Miiler rzucała w ogień bez czytania, a dawanych serenad wcale nie słuchała.

W pośród tego tłumu otaczającego ją z daleka, Florita uważała jednego tylko człowieka, którego codziennie spotykała, i on może jeden tylko, nie obsypywał ją pochlebnemi wyrazami, jakie zbierała w pośród swoich tryumfów. Siedział zwyczajnie na małéj ławeczce na scenie, i tam nieporuszony, uważający, okazywał swoje zadowolenie tylko przez uśmiech i żywe poruszenia, był młody i piekny ale w jego fizjonomi malował się rodzaj powagi, ktory dziwnie odbijał od delikatnych i pra

wie kobiécych rysów twarzy. Jego blond włosy, długie, podług owczesnéj mody, spadały w złotych pierścieniach na szyję delikatną jak u młodéj dziewczyny, a wąsy starannie ułożone zakrywały prawie różowe jego usta.

Florita codziennie widziała na tém samém miejscu kawalera; który do nikogo nic nie mówił i który zdawał się być wszystkim nie znanym. Zdawała się ona być czulszą na nieme oznaki jego uwielbienia, niżeli na szalone oklaski jakiemi witano jéj młodocianną chwałę. Wchodząc na scenę szukała go wzrokiem, a znalazłszy go doświadczała nieznanego jéj uczucia, wtenczas jéj natchnienie było żywszém, jéj uczucia gwałtowniejsze, i prawdziwe łzy płynęły po jéj licach. Obecność tego człowieka miała wpływ na wszystkie wypadki jéj dramatycznego życia, i kiedy u nóg jéj padały kwiaty i wieńce obracała się mimowolnie do niego oczekując jego uśmiechu i spojrzenia. Trwało to przez czas niejaki; późniéj uczuła Florita nagle skrytą niespokojność, rodzaj niecierpliwości i smutek którego zwalczyć nie mogła... W téj niezmiernéj sali, w obec tego ubóstwiającego

tłumu, nie pragnęła jak tylko uwielbienia jednego człowieka, i wszystkie oklaski niczém były w porównaniu z milczącém jego zadowoleniem.

Pewnego wieczora Florita ukazała się w roli Eurydyki, w któréj pierwszy raz wystąpiła rokiem pierwéj, a publiczność która się tłumnie zgromadziła, powitała ją przeciągłemi oklaskami; po skończeniu przywołano śpiewaczkę, tysiące bukietów upadło u nóg jéj, a potrójne oklaski wstrząsły murami teatru.

Florita zbliżyła się blada, wzruszona, serce jéj biło z wdzięczności i uniesienia, a zwróciwszy oczy ujrzała w bliskości siebie tego nieznajomego człowieka, który położywszy rękę na sercu przybliżył się do niéj, jak ona do publiczności, z tym samym wzruszeniem i radością. Na to poruszenie Florita zadrżała, spuściła oczy i zapomniała gdzie jest, i kto ją otacza, szczęściem jeden z artystów widząc ją bladą podał jéj rękę i spiesznie wyprowadził za kulisy, gdzie znalazła matkę i Calderona de la Barca.

— Ach! Florito! jakiż to piękny dzień dla ciebie, rzekła matka płacząc z radości.

— Tak, tak, moja matko! odpowiedziała trwożliwie podnosząc oczy... Ten którego szukała stał jeszcze na scenie i oparty o ścianę nie spuszczał z oczu Flority.

Natenczas opierając się na ramieniu Calderona zapytała go z gwałtownem biciem serca.

— Don Pedro, czy nie znasz tego pana który stoi przed nami.

— Jest to Francuz, odpowiedział Calderon z roztargnieniem, zdaje mi się że się nazywa Margrabia de Ribiery.

— Ah! więc to jest cudzoziemiec?

— Tak jest, jest to wielki pan, podróżuje aby poznać piękny świat w każdym narodzie, i dla tego też już od niejakiego czasu bawi w Madrycie.

— Więc jest tylko przejeżdzającym? rzekła z żalem Florita, usłyszawszy przykrą odpowiedź Calderona, ale on nie dosłyszał tego zapytania i milczał.

— Pójdź moja córko, pójdź, rzekła Ana Müller, jesteś tego wieczora bardzo utrudzoną. Boże! masz ręce zimne, jesteś drżąca, pójdźmy, pójdźmy.

Tej nocy Florita nie spała wcale, płakała aż do rana powtarzając w głębi serca.

—Margrabia de Ribiers! wielki pan francuzki.... może wkrótce wyjedzie... Boże dla czegoż przybył do Madrytu!... dla czegóż go poznałam!.... Ale cóż mnie to obchodzi!... niech sobie jedzie.. lub zostanie... dla czegóż to mi ma być przykro... tak mnie uważał tego wieczora... O Boże!.. jakaż jestem dziecinna... że mimowolnie o nim myślę.

IV.

Nic już nie brakowało powodzeniu Flority, jak tylko śpiewać w teatrze dworskim w obec króla. Ten zaszczyt byłaby za pośrednictwem Calderona otrzymała jeszcze w pierwszym roku swojego zawodu, gdyby słabość w iaką zapadła młoda królowa Elzbieta francuzka, siostra kró-

la Henryka, nie przerwała wszystkich zabaw u dworu. Filip IV zamknął się z królową w swoim królewskim zamku Retiro, i od niejakiego czasu dwór jego tak stał się smutnym, tak surowym jak za czasów Filipa II. Król jednakże był lubownikiem zabaw, świetnych gier rycerskich, wyłamywał się więc z surowych zwyczajów swoich poprzedników, o ile mu na to pozwalała etykieta, ale jak z czasem następowało zniszczenie jego państwa, tak też z wiekiem jego umierał dobry gust; był już starym, smutnym, zabobonnym, a jego spowiednik prawie miał więcéj panowania nad nim, jak jego pierwszy minister. Zdawał się z milczącą bezwładnością patrzéć na wszystkie zachodzące wypadki. Nie wypływało to z tego aby dawna krew austryjacka niepłynęła w jego żyłach, lecz gdy rozpoznał nieszczęścia hiszpanji, popadł w dawną niemoc i zlecił księciu wydać wojnę, lub ustalić pokój.

Tym czasem pełnomocny minister który od tylu lat zarządzał Hiszpanją, chciał jednakże wznowić swietne festyny i postanowił króla zabawić nowém widowiskiem, to jest widowiskiem żeglarskiém. Calderon de la Barca był proszonym aby napisał sztukę, podobna rzecz kosztowała

go nie więcéj nad dwadzieścia cztery godzin książe nie wybrał mu nawet do tego żadnej treści

— Mości książe, rzekł poeta rzucając okiem na rozległą przestrzeń wód, w których w téj chwili przeglądały się nieprzeliczne gwiazdy, to widowisko będzie zachwycającém i mam nadzieję, że Najjaśniéjszy pan będzie zupełnie zadowolonym.

— I ja również się tego spodziewam, odpowiedział książe, ale potrzeba uprzedzić artystów, Florita będzie grała główną rolę.

— Ah! książe, rzekł Calderon z radością, od dawna wzdycha ona do zaszczytu spiewania w obecności Najjaśniejszego pana, będzie to najpiękniéjszy kwiat którego brakuje do jéj świetnego wieńca.

W piętnaście dni późniéj, cały dwor hiszpański, był zgromadzony w ogrodach Retiro. Obszerna sala rozciągała się nad brzegiem wody, podwyższenie tego teatru na prędce urządzone, spoczywało na statkach przytwierdzonych do lądu scena przedstawiała gaik oblany wodą, gdy podniesiono zasłonę, widać było ruchome i ponure wały rozbijające się o podnoża skał. Był to wspaniały widok, z jednéj strony jaśniała sala ty-

siącem świateł. Czerwone bogato ozdobne draperje otaczały tron ozdobiony herbami Kastylji. Król ubrany czarno, siedział w krześle jaśniejącém złotemi frendzlami, i bogatemi haftami, obok niego Królowa, taka jak ją malował Velazque, piękne jasne blond włosy miała w około czoła podpięte rubinowemi szpilkami, a na jéj białe ręce spływały od ramion kosztowne koronki. Po obu stronach tronu siedzieli grandowie hiszpańscy, poniżej zaś tłumy dworzan, Naprzeciw tej jaśniejącej sali, ukazywała się scena na wpół oświecona, gdzie w malowniczych gaikach zlekka szeleścił powiew wieczornego wietrzyku, wgłębi zaś posępne wały szumiącéj wody i niebo pokryte chmurami.... Była to zachwycająca dekoracja.

Za podniesieniem zasłony ukazała się Florita, okryta purpurą, z bogatą przepaską na czole; była to Medea która w gronie swoich towarzyszek błąkała się na brzegach morza. Straszliwa czarodziejka zaczynała swoje uroki wywołując potęgi piekła.

Młoda śpiewaczka, była drżącą, spuszczała oczy stojąc przed tém dostojném, towarzystwem,

nie widziała ona tam swojéj zwyczajnéj publiczności, która ją tak kochała, i niezwykła bojaźń opanowała jéj serce. Zdawało się jéj że ją talent i natchnienie opuszczały, ale w chwili gdy bojaźliwie zwróciła oczy na orkiestrę i gdy o kilka kroków od siebie ujrzała margrabiego Ribiers, uczuła w swéj duszy wzruszenie, które wróciło jéj wszelką łatwość, i wznioślejsza, piękniejsza niżeli kiedykolwiek, rozpoczęła wywoływanie duchów piekielnych.

Nie będziemy starali się opisać jak wielkie wrażenie uczyniła sztuka Calderona de la Barca, i muzyka don Blas Nunes, to tylko powiemy, że dostojni słuchacze doszli do najwyższego stopnia podziwienia i roskoszy. Florita była nieporównaną, nigdy starożytna Medea nie miała tyle wyniosłości, namiętności, i tyle poezji, nigdy dzika czułość, poświęcenie, i okropna zazdrość, nie była przez piękniéjszy talent wydaną. Trzeci akt się zaczął, syn Esona, uprowadził Glauce z przed strasz liwego wzroku Mede,i a czarodziejka przysposobiła ozdoby których ogień miał zniszczyć jéj rywalkę. Jakże była piękną gdy siedziała na skale z posępném i spuszczoném czołem, i w nie-

ładzie rozrzuconemi włosami. Wiatr miotał jéj purpurową tuniką, i rozrzucał czarne warkocze, burza jęczała i zdawała się łączyć ze śpiewem Flority; widzowie nie oddychali słuchając téj dzikiéj muzyki, i największa cichość panowała na sali. Tym czasem Calderon stojąc w kulisach z trwogą spoglądał na niebo czarnemi okryte chmurami, które niekiedy wiatr z wściekłością rozdzierał, czuł w około siebie trzeszczące wątłe rusztowanie tworzące scenę, a statki na których były przytwierdzone deski uderzały o siebie z gwałtownością. Swiatło ukryte pod szklanemi dzwonami nie chwiało się wcale, ale gałęzie rozłożystych drzew uderzały o siebie z głuchym i ponurym szmerem, to dodawało uroku scenicznego, widzowie siedzący w sali zbudowanej na lądzie nie widzieli co się dzieje na scenie. Liczna orkiestra przytłumiła ponury odgłos burzy, i nikt nie myslał o niebezpieczeństwie. Nagle usłyszano okropny trzask, wiatr zawył z niewypowiedzianą wściekłością, swiatła zagasły, a rusztowanie runęło jak zamek z kart od dziecinnego dmuchnięcia. Przeciągły krzyk dał się słyszeć w sali, Florita

go usłyszała, lecz późniéj nic nie widziała, nic już nie słyszała, zanurzona w wodzie chwytała się wątłéj deski która tonęła pod ciężarem jéj ciała.

— Boże!... matko moja! wołała: ratuj mnie!.. W téj chwili silne ramie objęło jéj ciało, i donośny głos dał się słyszéć.

— Nie lękaj się Florito! ja cię ocalę!

Natenczas konwulsyjnie uchwyciła się swego wybawcy i straciła przytomność; w téj chwili usłyszano krzyk Calderona de la Barca, Florito! kochana Florito! sto tysięcy realów kto ocali Floritę!..

Ana Müler którą kilka kobiet wstrzymywało, wydawała jęki i chciała się rzucić w rozhukane wody.

— Do mnie, krzyczał margrabia, do mnie! Florita jest ocaloną... oto jest!...

Po chwili złożono ją na brzegu jeszcze nie przytomną, Ana Müler rzuciła się do niéj z radością:

Florita wróciwszy do przytomności rzekła, z przeciągłém westchnieniem.

— Moja matka!...

— Kochane moje dziécię zawołała Ana

Müler, miałam cię już za zginioną! niech będzie błogosławiony ten kto ci życie ocalił!

— To on... rzekła Florita patrząc na margrabiego Ribiers, który był blady i drżał w zmoczonych sukniach, potém odwracając się do klęczącego u jéj nóg Calderona, rzekła z słabym uśmiechem:

— Więc pan rozumiałeś żem już zginęła!

Królestwo oddaliło się ze swoją świtą. — Wszędzie widać tylko było ofiary téj niespodzianéj burzy, Jason miał rękę skaleczoną, Król Koryntu był prawie umarłym, inni zaś artyści wydobyci z wody, również byli w stanie opłakanym. Wpośród tego zamięszania nie widziano się i nie słyszano, a deszcz który zaczął gwałtownie padać, podwajał przykrość ich położenia. Calderon umieścił Floritę w powozie, aby ją odwieść do domu, w chwili gdy miała się oddalić, król przysłał dowiedzieć się o jéj zdrowiu, a krolowa ofiarowała jéj bogatą bransoletkę. Młoda dziewica doświadczywszy w tym dniu tyle różnych uczuć, wsiadłszy do pojazdu, zmrużyła oczy i

przywodziła sobie na myśl najdrobniejsze szczegóły tego wypadku, zdawało się jéj że jeszcze jest w objęciach swojego wybawcy Margrabiego Ribiers, człowieka którego kochała od trzech miesięcy nie wiedząc o tém.

IV.

Nazajutrz Calderon de la Barca, udał się do Margrabiego de Ribiers, aby mu podziękować w imieniu Flority i jéj matki, margrabia odpowiedział mu, że wielu mu zazdrości szczęścia narażenia swego życia dla ocalenia Flority, i upraszał a-

by mógł mieć tę przyjemność odwiedzić ją tego wieczora. — Albowiem, dodał, nie wiem czy jutro jeszcze pozostanę w Madrycie, co chwila mogę otrzymać rozkaz powołujący mnie do Francji.

Te ostatnie wyrazy zaspokoiły Calderona zazdrość, niechętnie on bowiem spoglądał na margrabiego i na wszystkich którzy życzyli sobie wejść do domu Flority, w ktorym on sam tylko bywał. — Tego wieczora panie margrabio rzekł z pośpiechem—tego wieczora przybędę po pana i razem oddamy jéj wizytę.

Nigdy w życiu, ani w dzień pierwszego wystąpienia, ani w wilją jego, ani nawet gdy się ukazała w obliczu dworu hiszpańskiego, nie była Florita tak mocno wzruszoną jak gdy ujrzała margrabiego Ribiers wchodzącego do jéj domu.

Gdy się do niéj zbliżył i znajomym jej dobrze głosem oświadczył kilka grzeczności używanych zwykle na wielkim świecie, mocny rumieniec pokrył jéj lica i zaledwie niemém poruszeniem zdołała mu podziękowsć; margrabia posiadał dowcip, i obejście się właściwe wiel-

kim panom; tymczasem Florita była bojaźliwą i zdawało się jéj że nie może nic powiedzieć, z obawy aby jéj wyrazy i drżący od wzruszenia głos, nie zdradził jéj uczucia. Szczęściem jéj niebezpieczny wypadek mógł ją w tym razie wytłómaczyć. Gdy margrabia zapytał czyli wczorajszy wypadek nie miał szkodliwego wpływu na jéj głos, za całą odpowiedź powstała, i uśmiechając się otworzyła fortepian i wykonała jeden z tych śpiewów które Calderon porównywał ze śpiewem Serafinów. Jéj talent i serce były w zachwyceniu, a drżenie jéj serca nadawało głosowi wyraz nieopisany. Florita śpiewała jak nigdy, i Calderonowi zdawało się że ją pierwszy raz słyszy. Ten wieczór był może dla niéj najpiękniejszym w jéj życiu, w obec tego którego kochała, czuła wielkość, i najwyższą władzę swego talentu, oraz szczęście być piękną i uwielbianą.

Margrabia słuchał oparłszy głowę o rękę i mając oczy wlepione w Floritę. — Było to też samo milczące uwielbianie jak w teatrze, jedną rękę przyciskał do swojego łona, jakby chciał przytłumić gwałtowne bicie serca, i tylko nie kiedy ciche westchnienie wznosiło jego piersi.

Gdy skończyła, osłabiona gwałtownością swoich uczuć, opuściła ręce i pozostała przez chwile milczącą, z wlepionemi oczyma w fortepian.

— Cóż ci to jest, moje dziecko, zapytała Ana Müler, dotykając zimnego czoła swéj córki, mój Boże! ty jesteś blada!

— Nie, moja matko, jestem szczęśliwą, odpowiedziała, ściskając rękę swojéj matki, widzisz że nie straciłam głosu.

Potém widząc że już jest dość późno, i domyślając się że margrabia wkrótce się oddali, zaczęła z nim rozmowę, którą starała się jak najdłużéj przeciągnąć, zapytywała go o jego podróżach, i wszystko co jéj tylko powiedział podziwiała z prawdziwą naiwnością. Florita była dowcipną, ale była nieświadomą jak hiszpanka, i na niczém się nie znała, wyjąwszy na swojéj sztuce. Calderon de la Barca mógłby wydoskonalić jéj edukacją, ale ani pomyślał o tém, poeta, uważał w niéj tylko artystkę. Margrabia swoim jaśniejącym dowcipem i znajomością świata przemawiał bardzo do pojętności i serca Flority. Spostrzegła ona swoją niewiadomość i wstydziła się.

— I ja, rzekła niewinnie, chciałabym podróżować, chciałabym widzieć i uczyć się. Do téj chwili zdawało mi się że całym światem jest Madryt i że wyjąwszy naszéj Hiszpańji, inne kraje są dzikiemi, ale jak widzę Francja jest także pięknym krajem.

— Potrzebaby ją zwiedzić kiedy, odpowiedział margrabia, wielkie talenta mają tam prawo obywatelstwa, dwór i całe miasto będą cię uwielbiać. Nasi poeci będą głosić twoją sławę i będziesz pani okrzyczaną pierwszą spiewaczką swiata w sali pałacu kardynała.

— Zapewne będzie to piękny tryumf, rzekł Calderon z wątpliwym uśmiechem, tymczasem chciéj pan jéj sławę rozgłosić we Francji, zwłaszcza że nie długo już wyjeżdzasz.

— Pan odjedziesz, rzekła Florita z wewnętrznem drżeniem.

— Może za tydzień, za miesiąc, może za rok, to zależy ode mnie.

— Zdaje mi się, że rozkaz którego pan oczekujesz, co chwila może cię powołać do Francji, odpowiedział Calderon.

— Tak jest, rozkaz może mnie powołać, ale mogę mu być nieposłusznym i jeszcze rok po-

zostać w Hiszpanji, odpowiedział margrabia patrząc na Floritę.

Młoda dziewczyna spuściła oczy, i z cicha rzekła.

— Muszę kiedyś być we Francji!

W przeciągu tego czasu margrabia de Ribiers bywał często u Flority, ale to było zawsze z przezornością i tajemnicą. W teatrze nigdy do niéj nie mówił, nawet nie siedział na ławkach będących na scenie, ale w loży.

Nigdy nie był sam na sam z Floritą, Ana Müler nie odstępowała swojéj córki, a Calderon de la Barca czuwał z niespokojnością nad rozmowami hrabiego z młodą dziewczyną. Nigdy jeden wyraz miłości nie był słyszanym, ale matka i przyiaciel domyślali się co ma znaczyć to milczenie. Zrozumieli oni dobrze drzenie i smutek Flority, oraz miłosne spojrzenia hrabiego. Ana Müler pragnęła aby jéj córka zaczęła kiedy rozmowę w tym przedmiocie, ale Florita zawsze milczała. Biedny Calderon najwięcéj cierpiał, bo kochał Floritę. Kochał ją z prawdziwém uczuciem, bez innéj nadziei jak widywania ją codziennie. Jego miłość musiała poprzestać na małém to jest na tytule przyjaciela. Je-

dno jéj miłe spojrzenie, jeden czuły wyraz czyniły go na cały dzień szczęśliwym, i przyciskał z namiętném uczuciem kwiatek który mu nie kiedy podała śmiejąc się. Ale biédny Calderon był nieszczęśliwym i zazdrośnym, gdy widział, że inny wzbudza uczucia w téj duszy którą on chciał mieć wolną od wszelkiéj miłości i którą chciał zapełnić tylko chwałą.

Pewnego dnia Florita grała rolę Medei, w teatrze de la Cruz. Była nieporównaną, sala teatru trzęsła się od oklasków, a po ukończeniu krzyczano ze wszystkich stron: — Niech żyje Florita! Gdy zasłona zapadła, Calderon podał jéj rękę aby ją odprowadzić do jéj loży; była smutną, niemą, z wlepionéma wzrokiem w jedno miejsce, jakby się gubiła w okropnych myślach. Wszedłszy do loży usiadła, rzucając daleko od siebie wieńce które na scenie padały u jéj nóg, i zaczęła płakać.

— Moja corko! cóż ci jest? Czy kto z tobą rozmawiał?... czyby ci kto jaką przykrość wyrządził?

— Nikt, odpowiedziała, ocierając łzy, ale jestem utrudzoną, bardzo utrudzoną!... tyle śpiewać.. ah! jakiż to stan!

— Jakto, zawołał Calderon zdziwiony, ty która tak namiętnie byłaś przywiązaną do swojéj sztuki!...

— Jestem nią utrudzona! rzekła z niechęcią...

— Jakto? utrudzona chwałą! i powodzeniem jakiego żadna kobiéta nie doświadczała!..

— Chwała!.. powodzenie!.. rzekła z cicha z goryczą, oh! tego wieczora poznałam ile mają wartości! Czémże jestem!... zaślepiona, rozumiałam że cóś znaczę!.. a czemże jestem w istocie! mój Boże! nieszczęśliwą kobiétą, która dla rozrywki publiczności płakać, lub śmiać się musi!... która dziś zbiera wieńce i oklaski, jutro może usłyszeć gwizdanie! Otóż to są tak upragnione tryumfy!...

— Cóż się takiego stało tego wieczora? mruczał Calderon zmartwiony.

— Nic! odpowiedziała kojąc swój smutek, ale jak już powiedziałam, jestem straszliwie utrudzoną. Moja matko pojdźmy do domu.

Potém zobaczywszy że Ana Müler płacze, rzuciła się w jéj objęcia dodając. Matko! proś Boga aby mi dodał mocy, i oddalił odemnie tę niechęć...

Dwie godziny późniéj cicho wstała z łóżka i przebyła ostrożnie pokój w którym sypiała obok swojéj matki. Młoda dziewczyna zarzuciwszy na siebie nocny płaszczyk, blada i drżąca, postępowała ostróżnie, a zapewniwszy się, że jéj matka śpi, zeszła ze schodów zostawiając otwarte drzwi za sobą. Głęboka cichość wszędzie panowała, służący już się oddalili i nic nie było słychać jak tylko szum wiatru który ponuro świszczał na obszernych schodach.

Florita weszła do niskiéj sali, któréj okratowane okna wychodziły na ulicę, drżącą ręką otworzyła okno, i ujrzała margrabiego Ribiers, który co noc w tém miejscu z nią rozmawiał. Oparta głową o kraty i ze drżeniem spojrzała na ulicę.

— Jestem tu, droga Florito, rzekł margrabia, jakże niecierpliwie oczekiwałem na ciebie, bo cię kocham!... dla tego tak leniwie upływały godziny, które miały zbliżyć nasze sam na sam.

— Jest to jedyna chwila która osładza moje smutne życie, z cicha odpowiedziała Florita.

—Wiesz że byłaś godną podziwienia dzisiej-

szego wieczora, rzekł margrabia, zdaje mi się żem cię nigdy podobnie nie słyszał śpiewającą, były to szczytne wyrażenia miłości, zazdrości, i nienawiści.

— Kto jest ta kobieta któréj towarzyszyłeś? zapytała Florita.

— Jest to znakomita dama, Hrabina d'Ayamonte, mieszka zwyczajnie w swoich dobrach, lecz przybywszy do Madrytu, chciała ujrzéć wielką śpiewaczkę o któréj cały świat mówi. Uwielbiała cię kochana Florito! oświadczyła nawet że ten wieczór był dla niej najprzyjemniejszym w całém życiu.

— Tak, zapewne ją bardzo zabawiłam, rzekła Florita obojętnie, ale dla czegóż byliście sami, gdzież był hrabia d' Ayamonte?

— Hrabia d'Ayamonte? odpowiedział margrabia z uśmiechem! on jeszcze nie bywa w teatrze. To jest bowiem dziecko pięcioletnie, bardzo piękne, jedyny syn hrabiny, ona jest wdową...

— Ah! rozumiem, rzekła Florita, cofając rękę którą margrabia usiłował ująć przez kratę.

— Tak byłaś zachwycającą, droga Florito, odpowiedział margrabia z żywością, nie mogę wyrazić jakie wznieciłaś uczucia we wszystkich sercach, wyczerpano nawet pochwały dla ciebie! a ja który cieszyłem się twojemi tryumfami, powtarzałem sobie w duszy: kobiéta sławna! artystka któréj imie we wszystkich brzmi ustach, jest Florita! moja miłość, czy wiesz że to można oszaleć z radości i dumy.

— Florita słysząc to, zasłoniła twarz rękami, i gorzko płakała, chwała artystki zdawała się jéj nikczemną, widziała ona nieprzybytą przestrzeń między nią a ową wielką damą, mówiła sobie w duszy, nie dojdę tytułów, godności, i nigdy nie będę równą hrabinie d'Ayamonte, któréj margrabia podawał rękę, którą tytułowano, tymczasem gdy mnie pierwszą śpiewaczkę, sławną artystkę, nazywano po prostu tylko Floritą. Margrabia nie mogąc zrozumieć tych łez i rozpaczy, rzekł do Flority z lekkim wyrzutem: — Cóżem ci złego uczynił, dla czegóż te łzy, ta rozpacz, byliśmy tak szczęśliwi wczorajszego wieczora, cóż cię dzisiaj udręcza?

Florita miała duszę dumną, była zazdrosną i za nic w świecie nie odkryłaby mu przyczyny swego zmartwienia.

— Nic się nie odmieniło! odpowiedziała z przymusem, ale jak wczoraj tak i dziś popełniam błąd znajdując się tu z tobą sam na sam, i oszukując moją matkę.

— Więc mnie już nie kochasz przerwał margrabia?

— Ja? ciebie...?odpowiedziała wznosząc oczy w niebo, jakby je chciała mieć za świadka swoich uczuć... Ja ciebie nie kocham!... Czyliżbym tu przyszła!... ale ty Henryku... często... wątpię o twojéj miłości.

— Dziecko jesteś! zawołał margrabia z uśmiechem, czyliż chcesz abym ci po tysiąc razy powtarzał że cię kocham!... kocham cię, ty wiesz o tém, piękna Medeo, czuła Eurypido! szlachetna Elwiro!...

— Tak, kochasz biednę Floritę! rzekła z szczególnym wyrazem uczucia i melancholji...

Ta noc, jak i inne skończyła, się wpośró

czułych rozmów, za ukazaniem się pierwszego dziennego promienia, Florita powróciła do pokoju gdzie spała jéj matka, obiecawszy jednakże margrabi że o tym samym czasie i w tém miejscu będzie się z nim widziała nazajutrz. — Ale Florita od tego wieczora była bardziéj cierpiącą, jéj duma i miłość własna były obrażone, zazdrość dręczyła jéj serce, i wszystko aż do jéj chwały było dla niéj obojętném. Calderon dostrzegł prawie z rozpaczą, że Florita zaniedbywała swego talentu, i z niechęcią przyjmowała oklaski które dawniéj w tak wielkiéj miała cenie. Domyślał się co się dzieje w duszy młodéj dziewczyny, ale nie widział środków jak temu zapobiedz albo jak ją z tego uleczyć. Ana Müler nie tyle przewidująca, czuwała tylko nad córką podczas odwiedzin margrabiego.

Pewnego wieczora Calderon odprowadził do domu Floritę po przedstawieniu Medei, w któréj to roli najświetniejsze odnosiła tryumfy. Była smutną i cierpiącą nie tknęła nawet wieczerzy; — Ana Müler wyszła na chwilę, a Calderon zbliżywszy się do Flority, rzekł po krótkiém milczeniu. — Margrabia de Ribiers nie był dzisiaj w teatrze?

Florita zadrżała, widziała że Calderon przeniknął przyczynę jéj smutku, a palący rumieniec okrył jéj twarz, która się potém śmiertelną okryła bladością.

— Pani kochasz tego człowieka! zapytał Calderon z wyrazem boleści...

— Tak jest, kocham go, odpowiedziała Florita.

W téj chwili weszła Ana Müler trzymając list w ręku. Przyniósł go służący margrabiego Ribiers, mając polecenie wręczenia go samé Floricie, ale służąca któréj go powierzył oddała go matce. — Biédna Ana Müler nie śmiała odpieczętować, ani wrzucić w ogień jak czyniła z innemi słodkiemi bilecikami, oddała go swojéj córce, i usiadła na przeciw niéj oczekując choć najmniejszéj oznaki zaufania, Florita drżąca, zdziwiona, owładnięta smutném przeczuciem, zbliżyła się do kandelabru będącego na drugim końcu sali i odpieczętowała list, czując nadzwyczajne bicie serca.

Moja duszo; znikł cały urok i szczęście mojego życia, bo muszę cię opuścić, rozkaz powołujący mnie do Francji już nadszedł. — Byłbym się oparł, ale poseł księcia rozkazał mi

opuścić Madryt w przeciągu 24 godzin. Moi przyjaciele chcieli uwolnić mnie od tego, proponując mi małżeństwo z hrabiną d'Ayemonte jako jedyny środek pozostania w Hiszpanji.

„ Florito! odjeżdzam, odjeżdzam smutny, cierpiący, i nie spodziewam się znaleść końca moich cierpień jak w grobie, ale ty moja Florito! idź za swojém przeznaczeniem, bąć zawsze piękną, uwielbianą, szczęśliwą, i nie zapominaj o twoim Henryku. P. S. Zatrzymam się przez 24 godzin, w Guadalaxara, u księcia I, Infandato, jeżeli otrzymam od ciebie choć jeden wyraz pożegnania, będzie to pociechą w mojém smutném życiu.

Florita przez chwilę była niemą, śmiertelna bladość pokryła jéj lica; — Ana Muler i Calderon w milczeniu uważali najmniejsze jéj poruszenia nakoniec rzekła nagle do Calderona.

— Już jestem od półtora roku w teatrze, muszę miéć wiele pieniędzy, nie prawdaż?

— Bez wątpienia, odrzekł zdziwiony, czuwaliśmy nad twojemi interesami, i masz dotąd cztery kroć sto tysięcy realów złożonych u mojego przyjaciela Fryderyka Moreno.

— Tém lepiéj, rzekła Florita, to będzie dla mojéj matki.

— To będzie dla ciebie, moje dziecko! odrzekła matka, to jest twój posag!

— Ma ona kosztowniejszy posag, ma bowiem talent, rzekł Calderon uśmiechając się.

Gdy północ wybiła na wierzy San-Salwador, Calderon powstał.

— Już jest późno, rzekł; Florita jest utrudzoną dzisiajszém przedstawieniem, odchodzę. Do jutra donna Ano, dobranoc moje dziecię, do jutra.

Już wychodził, Florita zastąpiła mu drogę, mówiąc, z smutném uczuciem—żegnam cię.

Ucałował jéj rękę i rzekł z cicha. — Biédna Florito!

Odszedł, młoda dziewczyna przez chwilę siedziała oparta o stół. Ana Muler uważała ją zniespokojnością, nakoniec rzekła.

— Moje dziecie, i cóż ten list?...

— Jutro moja matko! jutro dowiesz się o wszystkiém, odpowiedziała Florita ze łzami w oczach, przyciskając list do swego łona.

Podług zwyczaju matka i córka odmówiszy

wieczorne modlitwy położyły się spać. Ana Müler wkrótce usnęła. Florita która się wcale nierozbierała, ostrożnie powstała. Ciężkie zasłony pokrywające łóżko Any Muler, nie dozwalały jéj usłyszeć lekkich kroków Flority i szmeru jaki sprawiła otwierając małą szkatułkę zawierającą wszystkie jéj kosztowności, młoda dziewczyna wzięła garść złota, i drogie perły, które otrzymała od królowéj hiszpańskiéj, potém uklękła przy łóżku swéj matki i z cichym płaczem pożegnała ją, poczém odsunęła ciężkie rygle i zeszła na dół zostawiwszy drzwi otwarte.

Było to podczas długich nocy, przenikające zimno odstraszało nawet złodziejów i kochanków, dla tego też ulice były puste. Florita okryta płaszczem postępowała spiesznie nie oglądając się za siebie. Ani ciemna noc, ani to ponure milczenie nie przestraszało jéj, nie myślała jak tylko o tym, którego szukała. Nieżałowała ani na chwilę swego powodzenia, swojéj karjery, i jedynie myśl o matce boleśnie udręczała jéj serce. Błądziła do świtu po ulicy Alcala, a nad ranem spostrzegła jeden z tych

pojazdów, które w owéj epoce najmowały się na krótkie podróże lub przejażdzki w okolice Madrytu.

Florita wsiadła do powozu i wciskając sztukę złota w rękę woźnicy, rzekła:

— Pojedziemy do Guadalaxara.

VI.

Tego samego wieczora margrabia de Ribiers, spoczywał smutny w jednym z pokojów pałacu Infantado. Przybył rano do Guadalaxara utrudzony i cierpiący na duszy i ciele. Jego miłość ku Floricie różniła się od wszelkich innych jego miłostek, było to bowiem uczucie żywe i czyste

myśl uwiedzenia nie powstała w jego duszy, i cieszył się mogąc chociaż przez okno okratowane mówić jéj o swojém przywiązaniu.

Rozkaz który go powoływał do Francji, był dla niego jakby uderzeniem piorunu, nie czuł dość siły pójść pożegnać Floritę, wolał więc napisać do niéj, czuł on to dobrze, że oddalenie zdoła uleczyć tę miłość, jednakże dotąd cierpiał, marzył o środkach jakiemiby zdołał przytłumić to uczucie, tak w swojém sercu, jako też i w sercu Flority.

Książe Infantado, u którego się zatrzymał, nie był obecnym w Guadalaxara, przyjął go tylko jego marszałek, który oddalił się, kazawszy mu zastawić wieczerzę. Pozostał z nim Chavile jego lokaj, Francuz, który stojąc zdala oczekiwał jego rozkazów.

Siódma godzina wybiła na ściennym zegarze.

— Chavile, rzekł margrabia, czy jesteś pewnym że nie ma do mnie żadnego listu? —Nie ma kwandransu jak się dowiadywałem, poleciwszy aby mi doniesiono skoro coś będzie do JW Pana, jeżeli pan margrabia rozkaże pójdę jeszcze raz się dowiedzieć.

— Nie, Chavile, pójdziesz późniéj... jakże ten wieczór jest długi... zimno mi.

Chavile rozżarzył węgle na kominku, i podał margrabiemu pudełko z pastylkami.

Po chwili lekko zapukano do drzwi.

— To list od niéj! rzekł margrabia z mocném biciem serca, sam powstał i postąpił aby przyjąć tak niecierpliwie oczekiwanego posłańca, lecz cofnął się osłupiony i wyjąknął. — Florita.

To słowo tak było wyrzeczone, że Flor'ta prawie zlodowaciała. Chavile po chwili milczenia wyszedł, a margrabia ochłonąwszy rzekł z uśmiechem. Moja piękna Florito! to ty? ledwie uwierzyć mogę, abym był tak | szczęśliwym.

Florita drżąca i prawie bez duszy, padła na krzesło. Margrabia ukląkł przy niéj, — droga Florito! rzekł, przyszłaś więc mnie pożegnać... tegom się nie spodziewał.

— Pożegnać!.. powtórzyła z szczególniéjszym uśmiechem.

— Moja Florito! mówił margrabia, chciałaś mi sprawić jeszcze jedną chwilę szczęścia. Jak

że ci mam podziękować! O! teraz nie żałuję mego losu gdy jesteśmy razem.

Florita cofnęła się z jego objęć, i rzekła z zapałem.

— A gdybyśmy się na zawsze połączyli.

— Na zawsze! zawołał margrabia zdziwiony.

— Tak jest, odpowiedziała wpatrując się w niego, kocham cię więcéj jak moję chwałę, moje szczęście, moję matkę... opuściłam wszystko... wyrzekłam się wszystkiego. Pojadę z tobą do Francji...wszędzie...mówiąc to oparła swoję piękną głowę na ramieniu margrabiego i płakała.

—Moja Florito! zawołał margrabia przyciskając ją do serca, z niewymownem uczuciem; późniéj nagle się cofnął i usiadł o kilka kroków od niéj. Przez chwilę panowało między niemi milczenie, na twarzy margrabiego malowała się walka uczuć i wyrzuty sumienia. Widział on iż byłoby to niegodnym postępkiem uwieść niewinną Floritę, powierzającą się jego honorowi, i postanowił nazajutrz wyjechać sam. Czuł on to dobrze, że pomimo namiętnéj miłości jaką czuł dla niéj, nie mógł poświęcić świe-

inych widoków jakie miał na celu, chciał więc ją otwarcie o tém uwiadomić.

— Florito! rzekł z przykrém wzruszeniem, kocham cię i chcę ci dać największy dowód mojéj miłości, nie przyjmując ofiary jaką chcesz dla mnie uczynić. — Potrzeba abyś natychmiast powróciła do Madrytu, nie mogę cię wziąść z sobą, i nie chcę także ażebyś jutro została tu sama i shańbiona.

Florita patrzała na niego z uwagą i nic nie odpowiadała, zdawało się że go nie rozumie. — Posłuchaj mnie, rzekł spuszczając oczy, nie mogę przyjąć twego poświęcenia się, bo jestem człowiekiem honoru, i nie wymagam abyś twoje życie i przyszłość poświęciła mojéj namiętności. Florito! ja nie mogę ciebie zaślubić, i nie chcę cię uwieść z sobą jak moją kochankę..... Czy mnie zrozumiałaś?...

— Zrozumiałam, rzekła powstając.

Była bladą, ale na jéj twarzy nie malowało się co czuła w téj chwili, margrabia drżący, cierpiący, czuł że jego odwaga chwieje

się, i patrząc z bolesném uczuciem na Floritę, rzekł głosem przytłumionym.

— Przyjdzie czas Florito, że mi dziękować za to będziesz, żem nie pozwolił abyś twoje piękne życie poświęciła dla mnie. Wracaj Florito! wracaj do szczęścia i chwały, za nadto cię kocham, kiedy jestem w stanie wyrzec się ciebie...

— Kochasz mnie! rzekła głosem przerywanym, a łzy popłynęły po jéj bladych licach, zrozumiała ona że jéj miłość nie była zupełnie przyzwoitą. O mój Boże!... ocaliłeś mnie!... rzekła.

Margrabia czuł że słabnie jego odwaga, w téj chwili wszedł Chavile.

— Każ zaprządz do mojego pojazdu, odwieziesz tę panią do Madrytu...

Służący wyszedł, Florita siedziała oparta na stole, margrabia o kilka kroków od niéj, przez chwilę panowało milczenie. Po upływie kilku minut dał się słyszéć turkot pojazdu, — Natenczas margrabia przybliżył się do niéj ze łzami w oczach. — Żegnam cię Florito, żegnam cię na zawsze, niech cię twoja

chwała pocieszy!... bądź szczęśliwą!... masz przed sobą świetną przyszłość. — Żegnam cię!...

Zamilkł, Florita wzniosła oczy do nieba i przycisnąwszy jego rękę do swojego serca, nic nie mowiąc spiesznie wyszła.

— Florito! wołał margrabia z płaczem, droga Florito! — Ale ona już niczego nie słuchała i w kilka minut powóz śpiesznie toczył się do Madrytu.

Nazajutrz, Florita posępna, umierająca prawie, weszła do swego domu. — Ana Müler i Calderon czuwali przez całą noc. Widząc ją zbliżającą się wybiegli na przeciw niéj, młoda dziewczyna widząc ich padła na kolana. Nieszczęśliwa matka podniosła ją i uściskała płacząc. Calderon poprowadził ich do salonu. Florita usiadła i oparła się na fortepianie, mając ukrytą twarz w chustce. Ana Müler z uczuciem boleści patrzała na nią.

— Moje dziecko! rzekł Calderon, zbłądziłaś, szczęście że nikt o tém nie wie, w sam czas powróciłaś! ale bądź odważną, twoja matka przebacza ci, i jeszcze masz otwartą drogę do

szczęścia i chwały. Florita przycisnęła rękę matki do ust i wznosząc oczy do nieba, rzekła:

— Nie chcę żadnéj chwały, nigdy mnie już nie ujrzą na scenie, dla mnie wszystko się skończyło, i nie pozostaje mi nic jak pożegnać cię moja matko!

— Gdzież się chcesz udać? zapytał Calderon z bolesném uczuciem.

— Do klasztoru — Bogu powinnam poświęcić resztę dni moich.

— Oh! moja córko! a więc tak bardzo kochałaś go.

— Tak, kochałam go, bo zasługiwał pod każdym względem na to, odpowiedziała z dumą i dam mu tego dowody.

. . . .

Florita wstąpiła nazajutrz do klasztoru karmelitek, przez miesiąc nie mówiono o niczém jak tylko o tem, równie w całém mieście jak

u dworu. Po kilku miesiącach Florita umarła, zapisawszy arcy-dzieło swego ojca Calderonowi, który ją kochał, i ta była ostatnia jego miłość. Często go widziano na jéj grobie płaczącego, i modlącego się za jéj czystą duszę...

UMARLI NIEKIEDY POWSTAJĄ Z GROBU.

(*Podanie Antwerpskie.*)

I.

Na końcu wieku siedémnastego widziano na ulicy Haute w Antwerpji dwa sklepy których festyny błyszczały srebrem i złotem, wpośród słabego swiatła dnia, które się tam przedziérało. Należały one do dwóch fabrykantów złoconych

skór. Przez długi czas dwaj właściciele byli w spółce, lecz już blisko od roku rozłączyli się i każdy z nich pracował na swój rachunek. Na nieszczęście to rozłączenie nie będąc przyjacielskiém, zerwało między niemi związki które ich oddawna łączyły. Gerard Van Spiel (było to nazwisko jednego z nich) z tajemną rozpaczą widział kwitnący stan handlu swego krewnego Martina Valck, wtenczas gdy jego interesa przywodziły go prawie do zupełnego upadku. G rad był gwałtownego charakteru, nienawiść zemsta były u niego niemal jedném tylko uczuciem. Od niejakiego czasu nie przyjmował nawet pozdrowień Martina, i nie mówił z nim jak tylko z największą niechęcią.

Pewnego dnia bardzo rano mieszkańcy ulicy Haute widzieli zdziwieni wchodzącego do sklepu Martina Valck, Prokuratora królewskiego w towarzystwie sześciu zbirów uzbrojonych w halabardy, znalazł on uczciwego fabrykanta skór złoconych, jedzącego śniadanie w gronie swojéj małżonki i dwóch jak anioły pięknych córek, których bladość świadczyła o przestrachu którego powodem było niespodziane zjawienie się tego urzędnika sprawiedliwości. Zadziwienie Mar-

tina równie było wielkie, ale jego twarz i postawa nie okazywały żadnéj trwogi. „Człowiek który nie ma sobie nic do wyrzucenia, niczego się obawiać nie powinien" to była jego zwyczajna maxyma.

— Te przygotowania, rzekł uśmiechając się, do prokuratora, każą mi się domyślać, że chcą szukać jakiegoś obwinionego w moim domu...

— I spodziewam się, panie Martin, że poszukiwania które nam nasz obowiazek nakazuje, będę bezowocnemi.

Valck nie zrozumiał tych słów sądowych. Prokurator zaś znając tak postępowanie nienaganne, jako i cnotliwe życie Martina, starał się le było w jego mocy mniéj przykrém uczynić jego położenie. Poprosił kobiéty z największą grzecznością aby się oddaliły, i gdy drżące i dręczone okropném przeczuciem opuściły izbę. Prokurator z dobrocią prosił Martina, aby usiadł i odpowiadał na jego zapytania.

— Czyliż ja sam miałbym być tym występnym, którego panowie szukacie? rzekł tonem spokojnym.

— Nie, dzięki niebu, odpowiedział prokurator, widocznie wzruszony.

W téj chwili wyciągnął z kieszeni zwitek papierów, wybrał z nich jeden, a złożywszy go kilka razy tak, aby Martin następnych wierszy nie mógł przeczytać, rzekł pokazując mu papier:

— Panie Martin czy poznajesz to pismo?

Martin przez chwilę patrzał, nakoniec podnosząc głowę z godnością rzekł:

— Nie wiem jak daleko moje wyznanie może mnie potępić, ale przysięgam przed Bogiem że jeśli mnie oczy nie zwodzą, to pismo jest mojém własném.

— A to? rzekł prokurator pokazując mu drugi papier, czy także je uznajesz za swoje?

— W istocie, i to także moja ręka kreśliła.

— Panie Martin, bolesną muszę wypełnić powinność. Niech Bóg i wszyscy Święci przyjdą ci na pomoc. W imieniu prawa i panującego księcia, rozkazuję ci abyś się udał za mną...

— Ja!... ja się mam udać za panem?... zawołał nieszczęśliwy Valck rzucając wzrokiem po-

dziwienia na prokuratora, na tajemnicze papiery i halabardystów, jakby sądził że się jeszcze nie obudził. Mam się udać za panem?... ale jakąż zbrodnię popełniłem?... Cóż te papiery zawierają..... jakim sposobem znajdują się w waszych rękach?... Chciejcie mi jeszcze raz je pokazać... zaklinam pana niechaj się dowiem przynajmniéj co się w nich znajduje!...

Podczas gdy Martin błagał, prokurator odwrócił głowę aby ukryć łzy swoje, albowiem pomimo świadectw winy, jakie się znajdowały w rzeczonych papierach, nie wątpił jednak szlachetny prokurator, aby człowiek tak godny i od tak dawna otoczony szacunkiem współobywateli, którego żona i córki były wzorem wszystkich cnot i przymiotów, żeby taki człowiek mógł się stać podłym fałszerzem.

Nie miał prokurator odwagi odpowiedzieć na zapytania nieszczęśliwego ojca, i dał znak zbirom aby otoczyli biédnego Martina.

— Moje sumienie nie wyrzuca mi żadnéj niegodnéj czynności. Idźmy panowie... idźmy. Bóg w którym położyłem moje zaufanie nie opuści mnie zapewne.

Tłum mieszkańców, czekał przed drzwiami

domu, tysiączne a rozmaite uczucia udręczały duszę Martina, z boleścią spojrzał na swój dom który musiał opuścić, i w kilka chwil przestąpił próg ponurego więzienia miejskiego *Stean*, które odtąd miało zostać jego mieszkaniem, a gdzie codziennie słychać było okropne krzyki boleści wydobywane torturami z konających piersi nieszczęśliwych ofiar.

II.

W ośm dni po uwięzieniu Martina Valck, jego process był prowadzony z szybkością i niecierpliwością jakiéj doświadczają uczciwi ludzie aby co prędzéj wyjaśnić swoją niewinność. Nieszczęściem dla niego, tyle oskarżających znalazło się dowodów, iż łatwo można było skutek prze-

widzieć. Usiłowania przyjaciół stawały się bezużytecznemi, ufali jednakże że proces nie skończy się bez wypadku któryby nie wyjaśnił niewinności nieszczęśliwego. Pospólstwo zaś które tylko widziało to co mogło widzieć, i słyszało co można słyszeć, mówiło „To jest pewna, pan Martin jest winnym.

Szóstego dnia, wieczorem, młody terminator dzwonił gwałtownie do drzwi najsławniejszego doktora, jakiego mieliśmy w Antferpji. Musiało cóś ważnego sprowadzić go, prawą ręką bowiem tak dzwonił gwałtownie, że o mało dzwonka nie urwał, drugą zaś ręką silnie do drzwi wybijał.

— Prędko!... prędko!... wołał na doktora, który spieszył mu drzwi otworzyć!... spiesz się pan! spiesz się! Mój pan jest bliskim śmierci!... jego żona przysyła mnie abym pana prosił żebyś natychmiast przyszedł.

— A jak się twój pan nazywa i gdzie mieszka?...

— Jakto? Pan nie znasz go? nazywa się Gerard van Spiel na ulicy Haute?

Gerard van Spiel,—powtórzył z cicha doktór,

Niech będzie Bogu chwała, wracaj mój przyjacielu i powiedz pani Małgorzacie że za parę minut będe u jéj męża.

Doktór wszedł do domu, wziął kapelusz i laskę i wyszedł powtarzając przez drogę. Niech będzie Bóg pochwalony!...

Po chwili przybył do pana Ven Spiel, i znalazł go w tak wielkiéj gorączce, że prawie od zmysłów odchodził.

Od wielu lat doktór znał obu kuzynów, równie był złączony węzłem przyjażni jak z jednym tak z drugim, i pomimo niemal dowodów które potępiały Martina Valck, nie sądził go jak tylko ofiarą zdrady i niegodziwości. Jeżeli więc dziękował Bogu, że go zbliżył do Van Spiel, to tylko dla tego, że znał jego charakter gwałtowny, który dla zemsty wszystko był w stanie poświęcić. Ile mógł tylko oddalał wszelkie podejrzenia, przeciw Gerardowi lecz gdy go ujrzał, gdy dostrzegł w jego rysach okropną zmianę, zdawało mu się, że Bóg natchnął go.

Zapisawszy najpotrzebniejsze lekarstwa w o-

becnéj chwili, kazał się wszystkim oddalić, usiadł w głowach łóżka i zadawał Gerardowi pytania, na które on nie odpowiadał, jego umysł widocznie był pomięszany, mruczał tylko między zębami wyrazy, których doktór nie mógł nawet zrozumiéć. Po godzinie ciągłego prawie milczenia, doktór przybliżył się, i przykładając usta do ucha Gerarda wymówił imie Martina Valck. Na te wyrazy Gerard zerwał się jakby uderzony siłą elektryczną I zawołał z wściekłością:

— Martin Valck! Martin Valck! kto śmiał wymówić imie mojego kuzyna!... Milcz!... milcz żono! nie chcę aby wspominano jego imie!... do wszystkich diabłów! nie chcę... czy mnie rozumiesz Małgorzato!...

Mówiąc te słowa miał oczy błędne, usta zapienione, a ręce konwulsyjnie sciśnione, przez chwilę zostawał w tej okropnéj postawie, nakoniec siły go opuściły, zamknął oczy, roztworzył dłonię i powrócił do dawnéj niemocy, mówiąc przytłumionym głosem.

— Mniejsza oto!... umarli nie powstają z grobow!...

— Bóg czasem im na to pozwala, rzekł doktór nachylając się do chorego.

Czoło Gerarda oblał zimny pot, nie mógł otworzyć oczów, jego oddech był podobnym do oddechu duszącego się człowieka, usiłował powstać, lecz zdawało się że jakaś dłoń niewidzialna przytrzymywała go. Okropne cierpienia Gerarda w téj chwili równały się cierpieniom potępionéj duszy. Naprożno doktór chciał jeszcze z nim mówić już ani słowa nie mógł na nim wymódz.

III.

Nazajutrz nieszczęśliwy Valck uznany za winnego sfałszowania podpisu, miał być stracony na wielkim placu miejskim. Postępował na miejsce kary w towarzystwie swego przyjaciela doktora, który mu co chwila powtarzał.

— Miéj odwagę, poczciwy Martinie, Bóg nie opuści nas.

Stojąc na rusztowania skazany na śmierć zebrał całą moc swéj duszy i przemówił do tłumu zebranego na wielkim placu.

— Przyjaciele i wy mieszkańcy Antwerpji, umieram niewinny, umieram oskarżony o czynność któréj nie popełniłem. Uwierzycie mi; bo znacie mię jako dobrego katolika, nie mógłbym więc kłamać mając stanąć przed sądem Boga... Niech się zatém stanie jego wola... módlcie się za mnie...

Tym razem pospólstwo widząc iż stryczek się zerwał, chętnie chciało się już pozbawić tego smutnego widowiska był to wypadek który podług zwyczajow téj epoki powinienby zjednać ułaskawie skazanemu. — Zgromadzony tłum prosił, płakał!... ale nieszczęśliwego Valcka powieszono.

W kilka chwil po exekucji odwiązano ciało Martina i zamiast przenieść go na pole *dzikich ptaków* gdzie zwyczajnie zawieszano ciała skaranych, aby służyły na pastwę kruków, oddano ciało Martina doktorowi, który otrzymał łaskę

od magistratu aby mógł oddać ostanią posługę swemu przyjacielowi. Tego jeszcze wieczora, załobne tragi którym mała liczba znajomych i przyjaciół towarzyszyła, przeniosły ciało jego do klasztoru ojców Penitentów, gdzie je w zakątku ich cmentarza pogrzebano.

IV.

Gorączka i szaleństwo w prawdzie opuścił Gerarda van Spiel, ale stał się tak ponurym, jego poruszenia były tak gwałtowne, słowa tak opryskliwe, że jego biédna Małgorzata zaczynała wierzyć że zupełnie zmysły odzyskał. Często go jednakże widziano siedzącego po dwie godzin

w milczeniu, przesuwającego rękę po bladém czole. Żona jego rozumiała że okropna śmierć kuzyna uczyniła na nim takie wrażenie. Pewnego wieczora Gerard był sam z swoją żoną, która bardziéj niż kiedykolwiek była stroskaną, nagle powstał i stanąwszy przed nią rzekł:

— Żono! przed ośmiu dniami gdy miałem gorączkę, powiedziałaś mi, że umarli niekiedy powstają zgrobów, co chciałaś przez to powiedzieć.

— Na Najświętszą pannę przysięgam, że nic podobnego z ust moich nie wyszło, zapewne gdy byłeś w obłąkaniu zdawało ci się słyszeć te słowa.

— Czy wistocie nie mówiłaś tego?

— Przysięgam ci na moją patronkę.

Gerard zdawał się być cokolwiek spokojniejszym, po chwili zapytał.

— Powiedz mi Małgorzato czyś mnie odstępowała na chwilę owéj nocy.

— Blisko na pół godziny... doktór chciał...

— Dla czegóż byłaś mu posłuszna, zawołał ze złością i zaczął się wielkiemi krokami prze-

chodzić dla czego mi to powiedział... nie lękam się umarłych... i cóż mnie to może obchodzić? choćby i powstawali z grobów.

Pomimo tego zapewnienia Gerarda, łatwo było dostrzedz co działo się w jego duszy?.....

— Ale mój Gerardzie, ośmieliła się Małgorzata powtórzyć, to zapewne w twojém obłąkaniu...

— Milcz, milcz Małgorzato! byłem obłąkanym to prawda, ale te wyrazy nie są próżném przywidzeniem, słyszałem je tak wyraźnie, jak słyszę teraz te które z ust moich wychodzą. Ale przymuszę doktora aby mi się z tego wytłómaczył.

— Najświętsza panno! zawołała Małgorzata kryjąc twarz w rękach i płacząc.

Gerard rzucił się na krzesło i przez kilka minut milcząc patrzał w jedno miejsce, poczém jakby ocknięty ze snu zawołał. — A jeżeli nie on wymówił te wyrazy!... Przekleństwo!... a więc to był głos nieba... Ta myśl

okropna wyrwała go z odrętwienia, powstał nagle jakby niewidzialną popchniety siłą, i wybiegł z domu. Wyraz jego twarzy tak był straszliwy że żona nie śmiała nawet zapytać go dokąd idzie. — Zmierzał do mieszkania doktora.

V.

Na widok godnego doktora, którego wzrok zdawał się czytać w sercach tych na których jest zwrocony, Gerard czuł ogień gorączkowy przebiegający jego żyły, miał wtenczas postawę winowajcy stojącego w obliczu sędziego.

— I cóż, panie Gerard, cóż? jak się dzisiaj mamy, czémże ci mogę służyć.

— Dziękuję doktorze, dziękuję, odpowiedział Gerard bełkocząc, bardzo dobrze... bez wątpienia... nie mam już gorączki... jestem już wyleczony... Nieprawdaż?... to jest szczególnie.. gdy człowiek jest obłąkany... Wiele bardzo rzeczy mówiłeś mi doktorze owéj nocy... .

— Bezwątpienia, odpowiedział doktór obojętnie, ale nie mogłeś mnie zrozumiéć.

— Tak,... tak, rzekł Gerard, który z niecierpliwością oczekiwał wyjaśnienia, ukrywając ile możności przestrach którego wewnętrznie doświadczał, — zrozumiałem dobrze cóś mi powiedział, i jeżeli przyszedłem do pana, to jedynie dla tego, abyś mi wytłómaczył co chciałeś rozumiéć przez te straszliwe słowa.

— Słucham, panie Gerard, słucham rzekł doktór wlepiając w niego swój wzrok.

— Bo widzisz doktorze, są źli ludzie którzy chcą szkodzić reputacji tych którzy się dobrze mają, jak to pan wiész dobrze, moje uczciwe imie jest nienaruszone?

— A któż tak chce ci ubliżyć?

— Niktby nie śmiał, wiem o tém, ale nakoniec, doktorze, dla czegóż powiedziałeś mi że umarli mogą niekiedy powstawać z grobu?

— Czy chcesz panie Gerard żartować, albo może gorączka ci się powróciła?

— Nie mam żadnéj ochoty żartować, odpowiedział Gerard z przytłumioną złością, ale wspomnione słowa, powiedziałeś, albo nie?...

— Ah! ah! dobrześ przed chwilą powiedział panie van Spiel, że człowiek obłąkany jest szczególnym.

Gerard przyjął te wyrazy jako odpowiedź przeczącą, oparł czoło o prawą rękę, gdy tym czasem lewę ściskał konwulsyjnie „ A więc to był głos nieba! rzekł do siebie.

Przez niejaki czas milczenie trwało między niemi: nakoniec Gerard przerwał:

— Kochany dokterze... czy sądzisz że umarli w istocie mogą opuszczać swoje smutne grobowce? jak mi się zdaje to jest dziecińswo wierzyć w to!...

Gdy kto żyje uczciwie nie powinien się obawiać powstających z grobu... choćby to prawdą było... Czy wierzysz w to doktorze... wierzysz że po śmierci ludzie powstają?

— O! nie mówię tak... ani nie, rzekł doktór z miną więcéj potwierdzającą, aniżeli powątpiewającą; ale jak mówią widziano to więcéj jak raz, zapewniają nawet, że niektóre osoby pogrzebane od kilku dni powstały, i powróciły do życia. Bóg jest wszechmocnym!... ale jak powiadasz nikt nie powinien się obawiać kto nie ma nic sobie do wyrzucenia.

Przez ciąg téj rozmowy doktora, twarz Gerarda przybrała przerażający wyraz, pięści i zęby jego były ściśnięte, był wtenczas podobny człowiekowi którego najokropniejsze męczą tortury.

— Ah!... ah.. a więc wierzysz w zmartwychwstanie, rzekł Gerard z konwulsyjnie przymuszonym śmiechem, wierzysz?

— Nie mówię tak, nie mówię nie... odpowiedział doktór, kto ujrzy, ten uwierzy... Co do mnie, będę prósił Boga aby żaden z umarłych nie przerywał mego spoczynku.

Gerard wyszedł z domu doktora, biegł spiesznie przez ulicę oglądając się co chwila jakby obawiał się aby go jakie widmo nie ścigało. Był to więc głos Boga.... Kto ujrzy ten uwierzy!... Często się to trafia!... Bóg jest wszechmocnym!..

Przybywszy do domu drżący, oblany zimnym potem, rzucił się na łóżko, nie chcąc przyjąć żadnego posiłku i nie chcąc ani słowa odpowiedzieć biednéj Małgorzacie. Przepędził on jednę z tych nocy o jakich tylko mają wyobrażenie ci którym jedna godzina włosy ubieliła...

VI.

Nazajutrz rano miał właśnie wstać, gdy mu żona oddała list który jéj w téjchwili jakiś nie znajomy człowiek wręczył. Gerard otworzył go machinalnie, i mało nie upadł na ziemię rzuciwszy okiem na pismo. Był to charakter jego kuzyna Valcka, a co było najbardziéj zadziwiają-

że list był swieżo pisany, nawet litery nie które były jeszcze mokre!... Ah! czy się djabeł do tego wmięszał? zawołał i w téj chwili uczuł w piersiach ogień trawający go, zęby jego szczękały, nogi uginały się, a ciemny obłok zasłonił mu oczy, padł na łóżko jakby uderzony apoplexją.

Dość długo zostawał w tym stanie, a gdy odzyskał przytomność, na nowo spojrzał na pismo, i rzekł:

Boże zlituj się nade mną! to jest ręka Martina... jakże to być może!... powieszony... pochowany!... czyżby w istocie miał powstać z grobu?... Zobaczmy czego chce odemnie?... I przeczytał co następuje:

Mój kuzynie.

„Ty wiesz najlepiéj kto z nas dwóch popełnił zbrodnię za którą zostałem powieszony dnia 9go tego miesiąca... Nie chcę twojéj zguby, ale chcę się na powrót pokazać między mojemi przyjaciołmi i cieszyć się ich szacunkiem i przyjaźnią, i nie chcę aby moja biédna żona umarła z żalu. Bóg jest wszechmocnym, po-

zwala on niekiedy aby umarli powstawali z grobu..... Zostawiam cię twojemu sumieniu, słuchaj jego głosu.

Twój kuzyn.

Martin Valck

20 Października 1690

Wrażenie jakie ten list uczynił na sercu Gerarda trudném jest do opisania, krew ścięła się w jego żyłach, przebiegł błędném wzrokiem okropne pismo, i stał martwy jak posąg, Małgorzata widząc go w tym stanie, rozumiała, że znowu napadło go szaleństwo.

— O mój Boże! Gerardzie! cóż ci to jest czy powróciła gorączka?...

— Oh! ty mnie masz za szalonego, zawołał z wściekłością,... myślisz się... to nic... czy rozumiesz?... cóżby mnie mogło niepokoić... powtarzam ci że to nic!... jestem tylko słaby i nic więcéj... zostaw mnie samego...

W godzinę późniéj doktór po którego Małgorzata mimo wiedzy męża posłała, siedział przy łóżku choregp.

— Panie van Spiel, rzekł trzymając go za puls, jak widzę znowu ci gorączka powróciła, musiała być do tego jaka przyczyna...

— Przyczyna?... przyczyna!... cóż pan przez to rozumiesz? zapytał opryskliwie chory...

— Tak jest... odpowiedział doktor, są cierpienia których my leczyć nie umiemy, takiemi są cierpienia duszy. A więc panie van Spiel jesteśmy sami i możemy pomówić otwarcie. Czy chcesz aby szczerze z tobą pomówić?

— Mów pan, rzekł Gerard, którego każde słowo doktora dreszczem przejmowało.

— Założę się, że się obawiasz umarłych...

— Ja, ja miałbym się obawiać? nie doktorze: jeżeli ci wczoraj o tém mówiłem to tylko był żart... Dlaczegóż miałbym się ich lękać?... przecież nie jestem występnym!... nie chcę tylko aby mówiono o mojm kuzynie...

— O twoim kuzynie, rzekł doktór zwolna wszakże nie wymówiłem jego nazwiska.

— Nie chcę aby kiedy o nim mówiono w mojéj obecności, zawołał Gerard ze złością.

— Chcesz więc zapomnieć o biednym Martinie.

— Cóż mnie obchodzi powieszony... on który był...

— Nie kończ, nieszczęśliwy! rzekł doktór z mocą. Twój kuzyn był uczciwym człowie-

kiem, czy rozumiesz mnie Gerardzie... Sprawiedliwość ludzka potępiła go, ale sprawiedliwość Boska nigdy się nie myli. Prawdziwy winowajca będzie wkrótce wykrytym i powieszony na téj samej szubienicy na któréj skończył życie nieszczęśliwy Martin Valck, a który teraz żyjący będzie patrzył na karę swego potwarcy.

— A więc, powstał z grobu? zapytał Gerard bełkotając.

— Już ci mówiłem, że podobne cuda często się zdarzają, rzekł doktór, z tonem pewniejszym jak dnia poprzedzającego, poczém wyszedł zostawiając Gerarda jego okropnym myślom.

VII.

Trzy dni następujące zdawały się Gerardowi otrzema wiekami, scigały go ciągle okropne obrazy. Jego nieszczęśliwa Małgorzata uwierzyła nakoniec, że jéj mąż zupełnie utracił zmysły. Nawet już w całym obwodzie rozmawiano tylko o tém. „Nieszczęśliwy mówiono, za-

pewne śmierć jego kuzyna jest przyczyną téj choroby.

Trzeciego dnia wieczorem Van Spiel siedział na progu swego sklepu, gdy jakiś nieznajomy nagle zbliżył się do niego pytając.

— Czy nie znasz mój panie, Gerarda van-Spiel?

— Ja nim jestem.

— To dobrze! a więc to do pana, rzekł nieznajomy oddając mu list.

— Od kogoż to?

—Alboż ja wiem, może od samego djabła, rzekł rubasznie posłaniec i odszedł.

Gerard drżąc ze strachu wszedł do domu, wziął zapaloną swiecę ze stołu przy którym pracowała Małgorzata, poszedł do swojego pokoju i otworzył list, i znowu rozpoznał pismo Martina.

— A więc on żyje! powstał z grobu! zawołał gniotąc list w skurczonych palcach... i chwiejąc się jak człowiek upojony trunkiem, nie czując odwagi rzucenia wzrokiem na fatalne pismo. Po chwili uspokoiwszy się nieco zaledwie mógł przeczytać te wyrazy.

„A więc mój kuzynie, twoje sumienie nic ci

nie wyrzuca? czy nie cierpisz okropnych jego męczarń? niesłyszysz jego głosu? gdy niechcesz uznać mojéj niewinności? Strzesz się kuzynie jeśli ty nie zechesz, mówić, głos Boskiéj sprawiedliwości wkrótce się da usłyszeć"

Przestrach Gerarda doszedł do najwyższego stopnia, i odtąd go nie opuszczał, przestał pracować, mówił bardzo mało i to tylko przez monosylaby, to raz biegał po pokoju, to znowu czasem przez dwie godziny siedział nieporuszony. Sen jego ciągle był przerywany, mówił wtenczas o sprawiedliwości, o sądzie, o Bogu, o torturach i szubienicy, często zdawało mu się że go tłum widziadeł otacza, między któremi rozpoznawał Martina Valck. Jego żona była w rozpaczy a sąsiedzi będąc świadkami tego postępowania już nie wątpili o jego szaleństwie.

Trzy tygodnie upłynęły a Gerard regularnie co pięć dni odbierał list pisany ręką swego kuzyna. Ta tajemnicza korespondencja takie na nim czyniła wrażenie, że wszyscy go uważali już nie za szalonego ale za opętanego przez złego ducha, i chcieli go nawet exorcizmować.

Pewnego poranku, w kilka chwil po odebraniu jeszcze jednego listu, Gerard zszedł do

stancji gdzie były zgromadzone sąsiadki odwiedzające jego żonę, rozmawiały one i dociekały przyczyny tak okropnego stanu Gerarda. Ujrzawszy go niespódzianie, zamilkły jak owce gdy wilka zobaczą, postać nieszczęśliwego w istocie była przerażającą; usta miał otwate, a oczy zdawały się wybiegać ze swojéj oprawy, obecnym tam kobietom zdawało się nawet że włosy powstały na jego głowie.

— Gerardzie! kochany Gerardzie! cóż ci jest krzyczała Małgorzata wznosząc ręce do Nieba.

— Co mi jest?.. wołał głosem chrapowatym, co mi jest... wkrótce się dowiesz... a teraz.

Nie dokończył mówić i przewracając krzesła ławki biegł na ulicę.

— Matko Najświętsza! on oszalał.

— Kochana sąsiadko rzekła druga, obawiam się czy to nie djabeł który...

— Niech cię Bóg ma w swojéj opiece.

— On pewno pobiegł powiesić się.

— Albo utopić się w Escaut.

Ochłonąwszy nakoniec z pierwszego przestrachu, wszystkie krzyczały wybiegłszy na ulicę, aby posłać przytrzymać szalonego.

VIII.

Było pózno gdy Van Spiel znikł.

O dziesiątéj z rana w Magistracie toczyła się sprawa jakiegoś oskarżonego, tłum pospólstwa zapełniał salę, uroczysta cichość panowała, gdy nagle jakiś człowiek roztrącając wszystkich wołał.

— Puszczajcie mnie!.. puszczajcie! chcę mówić z sędzmi! Panie prokuratorze, pozwól abym się zbliżył do ciebie.

Tłum z trudnością usunął mu się aby go dopuścić do prokuratora.

— Halabardziści, wyprowadzić tego człowieka rzekł prokurator powstając.

— Na piekło! musicie mnie wysłuchać, mam okropną tajemnicę wyjawić.

— Cóż cię ośmieliło niepokoić nasze zgromadzenie?

— To żeby was uwiadomić że mój kuzyn Valck, któregoście kazali powiesić żyje...

— Ten człowiek jest szalonym! rzekł prezes do swoich towarzyszów... Halabardziści.

— Słuchajcie! słuchajcie sędziowie! bo przysięgam wam na Boga że Valck żyje!

W głosie Gerarda było cóś tak przekonywającego ze magistrat zastanowł się przez chwilę.

— Jakież masz tego dowody? zapytał prokurator.

— Pisał do mnie sześć listów, o to są, patrzcie, rzekł Van Spiel rzucając paczkę papierów na stół.

— Ale mój przyjacielu ty jesteś.

— Szalonym; nie prawdaż że to pan chciałeś powiedzić? ale na piekło nie jestem nim. Nie, jestem zdrów tak jak wy wszyscy. Czy wiecie kto ja jestem.. nędznik, morderca, którego sumienie okropniéjszém jest niżeli wszystkie tortury. Skazaliście niewinnie mojego kuzyna, dla tego Bóg przywrócił go do życia. Zbrodnię o którą był oskarżony, ja sam popełniłem. Teraz wiecie wszystko, każcie mnie związać, skażcie mnie na śmierć i niech sprawiedliwość będzie wymierzona.

Tak straszliwe wyznanie żywe uczyniło wrażenie na obecnych, ale żywsze jeszcze na sędziach którzy osądzili Martina Valck, jeden tylko znich nie tyle tém był uderzony, i rzekł głośno.

— Ale przecie widzicie że ten człowiek jest zupełnie szalonym.

— Nie jest nimzawołał ktoś z tłumu, to wszystko co powiedział jest czystą prawdą.

— W imieniu prawa i naszego księcia, niech ten który to wyrzekł stawi się przed nami, rzekł prokurator.

Tłum się rozdzielił aby dać przystęp wołanemu. Był to zacny doktór. Widok tego cno-

tliwego obywatela uczynił szczególniejsze wrażenie na wszystkich.

— Cóż znaczy ta tajemnica, zapytał prokurator głosem wzruszonym.

— To że ten człowiek odkrył wam prawdę, nie szaleństwo, ale sumienie mówi przez niego. Wprowadzeni w błąd wskazaliście na śmierć biednego Martina Valck, a Bóg w swojéj nieskończonéj dobroci, dozwolił aby był uratowanym. Tylko to nie jest prawdą jak mniema Van Spiel że Martin powstał z grobu.

— Jakim że sposobem żyje zapytał prokurator.

— Bóg mnie wybrał abym go ocalił. Wiecie panowie żeście mi dozwolili odwiedzać mojego przyjaciela w więzieniu, jako też towarzyszyć mu na miejsce kary. Znajdując się przy nim na kilka chwil przed poprowadzeniem go na plac, powziąłem myśl którą mnie Bóg zapewne natchnął, przypominałem sobie o wielu osobach w Anglji, których przyjacielscy doktorzy uratowali od śmierci. Zakląłem Martina aby pozwolił chwycić się środka który nie raz Angielskim doktorom pożądany wydał skutek. Wzią-

łem się natychmiast do dzieła, zrobiłem mu mały otwór poniżéj grdycy, aby tym sposobem chociaż cokolwiek powietrza dostawało się do płuc i wystarczyło przynajmniéj na ten czas jaki skazany musi wisieć. Operacja udała się szczęśliwie bo Bóg chciał ocalić Martina. Gdy go odwiązano, i oddano mi go podług waszego zezwolenia, oddychał jeszcze, ale tak słabo że władza widziała w nim tylko zimnego trupa. Ufając w Bogu, użyłem całéj mojéj sztuki aby go ocalić, jako też nazajutrz Martin czuł się dalekim od niebezpieczeństwa.

— Ah! to cud! wołano ze wszystkich stron.

— A cóż znaczą te listy, zapytał prokurator.

— Niebo, rzekł doktór, dozwalając mi ocalić niewinnego, pozwoliło nam odkryć prawdziwego winowajcę. Byłem aż nadto przekonanym że Martin nie popełnił zbrodni, za którą był przed was stawionym. Ktożby mógł z takiém wyrachowaniem ułożyć zgubę mojego przyjaciela? To pytanie po tysiąc razy sam sobie zadawałem, zwróciło ono nakoniec moje podejrzenie na Gerarda, którego znałem jako człowieka złego i najgwałtowniejszego nieprzyjaciela

Martina. Kilka wyrazów która wymówił mając mocną gorączkę, utwierdziły mnie w moich domysłach. Gdy moj przyjaciel powrócił do życia prosiłem go aby tajemniczo pisywał do tego na którego miałem podejrzenie. Nakoniec dręczony wyrzutami sumienia stanął przed wami i wyznał wszystko, a tem samém dowiódł niewinności swego kuzyna. Bóg to wszystko zrządził, dziękujmy mu za to i powróćmy przyjaźń i szacunek nieszczęśliwemu Martinowi.

— Brawo! brawo! szanowny doktorze! krzyczano ze wszystkich stron. Idźmy teraz do Martina Valck!

— Niech Bog będzie pochwalony!

— Na szubienicę niegodnego potwarcę.

— Do Martina Valck!

— Do Martina Valck!

— Tak jest zacni obywatele, spieszmy go oddać rodzinie i licznym przyjaciołom.

Sądy zostały zawieszone, sędziowie i pospólstwo udali się za doktorem, który ich zaprowadził do swego domu. Martin ukazał się wpośród tłumu, który go w tryumfie zaniosł do żony i córki.

Nazajutrz Gerard van Spiel był powieszony na téj saméj szubienicy na której miał utracić życie jego kuzyn, a mieszkańcy widząc jego karę wołali.

Tak! Bóg jest sprawiedliwym!

MIS SARA.

Pomimo wolności jakiéj używały młode dziewice Angielskie, żadna nie była o tyle panią swoich czynności ile piękna i młoda Miss Sara Claperton. Urodzona w Ameryce wychowana w Indjach aż do ósmego roku życia, u-

mieszczona we Francji do dwunastego roku, potém zoztała powierzona [staraniom angielskiéj guwernantki i zamieszkiwała wspaniały pałac o dziesięć mil odległy od Londynu. Powierzchowność pięknéj i dumnéj Sary nie dozwalała żadnemu z młodzieży wspomnieć nawet o miłości, ale za to nieustannie rywalizowała z niemi w wyściganiu się na dzielnych rumakach. Często widziano ją jadącą z pałacu swego stryja w towarzystwie modnych *dandych* Pomimo jednakże tych częstych przejażdżek i dość bliskiéj znajomości, żaden z nich nie ośmielił się dać poznać tajemnych uczuć ku najpiękniejszéj i najbogatszéj dziewicy w całym Londynie.

Pomiędzy najzapaleńszemi jéj wielbicielami znadował sią młody oficer marynarki, wprawdzie bez majątku, ale noszący zaszczytne imie swego przodka kapitana Cook owego sławnego marynarza. Grzegorz Cook wiele już odbył podróży, posiadając skromny stopień chorążego okrętowego, i jeżeli przepędzał zimę w Londynie, to jedynie dla tego, że głęboka rana w prawém ramieniu uczyniła go nieużytecznym i wymagają-

cym wielkich starań pierwszych chirurgów. Wprowadzony do domu krewnéj Miss Sary, marzył on nie o ożenieniu, które widział niepodobném ale o jéj wdziękach, ile razy miss Sara pokazała się w salonie czuł gwałtowne bicie serca, a bladość pokrywała twarz jego. Czasem gdy przypadkiem kilka słów do niego przemówiła waleczny młodzieniec, który odniósł ranę walcząc sam przeciw ośmiu dzikim, był bojaźliwym, drżał i zaledwie jąkając się mógł odpowiedzieć; natenczas wszyscy którzy go otaczali śmieli się a miss Sara oddalała się zadziwiona. Grzegorz przeklinał nieraz swoją niezgrabność i bojaźliwość, i po sto razy w rozpaczy chciał kark złamać pędząc na koniu i towarzysząc miss Sarze, wystawił się na tysiączne niebezpieczeństwa zmuszając swego konia do przeskoczenia, muru wysokiego na sześć stóp, nakoniec pewnego razu przybywszy nad brzeg głębokiéj i bystréj rzeki, usłyszał krzyki, zsiadł konia rzucił się w rzekę i wkrótce ukazał się trzymając starą kobiétę, poczem cztery razy zanurzał się i za każdym razem wydobył dziecko.—Gdy tym czasem nieszczęśliwa matka z płaczem wołała że jéj męża brakuje który wypadł z całą swoją ro-

daliną z przewróconéj łódki. Grzegorz na wpół omdlały przez utrudzenie, jeszcze raz rzucił się do wody, pomimo tego że jeden z gentelmanów, wołał, „jestes szalonym! ten wieśniak już utonął, Grzegorz chciał wyratować tego nieszczęśliwego ale zanurzywszy się jeszcze kilka razy w wodzie gdy się dostał do brzegu wpadł w omdlenie w którém przeszło godzinę zostawał. Gdy otworzył oczy ujrzał iż miał głowę wspartą na kolanach miss Sary, która starała się przywrócić go do zmysłów.

Zaprowadzono go do jego mieszkania, a nazajutrz odebrał następujący list:

„Lord Bedley uprasza pana Grzegorza Cook aby go raczył odwiedzić w jego pałacu przy ulicy Regent-stret jutro we Czwartek o godzinie pierwszéj

Gregórz który nie znał lorda Bedley, jak tylko z tego że miał wielkie znaczenie w izbie wyższéj, zastanawiał się długo nad zaproszeniem które otrzymał, aby jednak nie uchybić, udał się na przeznaczone miejsce. Wszedł do salonu w którym gustownie założone firanki, lekką w nim ciemność rozlewały. Tam znalazł starca siedzącego przed wielkim ogniem.

— Panie Grzegorzu, zapytał starzec, czyli pan nie podróżowałłeś na fregacie The Turner?

— Tak jest Milordzie, jest cztéry lata temu, była to moja pierwsza podróż.

— Czy w téj podróży, nie zwiedzałeś kraju Patagonów?

— Tak jest milordzie, odpowiedział młody chorąży, zdziwiony, że nieznajomy ma tak dokładne o nim wiadomości.

— Z jakiéj okoliczności podróżowałeś tam, proszę pana nie opuść najmniejszego szczegółu.

— Byliśmy blisko od trzech miesięcy na morzu australskiém, niedaleko ziemi Magelońskiéj, i gdy już nasze palne materjały kończyły się a woda psuć się zaczęła, postanowiliśmy na nowo zaopatrzyć się w wodę i drzewo i mieliśmy w tym celu wylądować do kraju Patagonów. Pocieszałem się, że zwiedzę kraj o którym marynarze zostawili tylko błędne opisy, a który dotąd tak mało jest znajomym. Któżby będąc na mojém miejscu nie był ciekawym widzieć ludzi, *którzy tak szybko biegają jak najlepszy koń w galopie i którzy jednym tchem wypijają pół wiadra wody*, wierząc opisom podróżników.

— W istocie przerwał Lord Bedley pisano

o nich te wszystkie kłamstwa... Czy nie przypominasz sobie dnia waszego wylądowania?

— Było to dnia 13 Kwietnia 1832 roku, gdyśmy weszli przez Magelan, i pomimo silnego wiatru który nas w przeciwną stronę usiłował unieść, postępowaliśmy z wielką przezornością do portu który otrzymał od sławnego Cavendich smutną nazwę portu-Famine. Gdy noc zapadła zarzucilismy kotwicę, i postanowiliśmy czekać rana w tém miejscu które wydawało nam się zupełnie bezpieczném. W niewielkiéj odległości ujrzeliśmy rzekę Sudger, na lewo Terre-du-feu, a na prawo ląd stały amerykański. O ile pozwalały nam cienie nocy, przebiegaliśmy wzrokiem za pomocą morskich lunet te niebezpieczne dla podróżników skały, puste i dzikie doliny, i obnażone z drzew góry. Niepodobna było odkryć najmniéjszy ślad ludzkiéj bytności.

— I nie widzieliście w istocie żadnego mieszkańca?

— Za pozwoleniem milordzie. Nazajutrz równo ze świtem powstałem, i wyszedłszy na pokład pokazano mi w oddaleniu dzikiego na koniu; kapitan pozwolił mi wysiąść na ląd,

wziąłem więc jedno z naszych czółen, i w towarzystwie dwóch ludzi byliśmy wkrótce na brzegu. Dziki postępował na przeciw nas nie okazując wielkiego zadziwienia, i nie zsiadając z konia. Jego mina nie bardzo była uprzejmą osądziłem więc potrzebném mieć się na baczności..

Zdawał mi się być bardzo wysokim, jego skora była zabłoconą a długie włosy w nieładzie spadały mu na ramiona.

Na pierwsze wejrzenie rozumiałem że ma okulary, lecz gdym się zbliżył do niego, dostrzegłem że miał oczy na około czarno pomalowane jako też część nosa. Jego ubiór składał się z wielkiéj skóry wigoni, która okrywała całe jego ciało aż do kolan. Nogi jego pokrywały rodzaj drewnianych trzewików przymocowanych paskami skorzanemi, i uzbrojonych kośćmi mającemi kształt ostróg, przy skorzanym pasie wisiał nóż podobny naszym nożom myśliwskim.

Gdyśmy byli blisko siebie, dziki podał mi rękę na znak przyjazni. Wystrzeliłem z jednego pistoletu w powietrze aby przekonać się jakie to na nim uczyni wrażenie, ale bardzo by-

łem zdziwiony, gdym dostrzegł że go to wcale nie przestraszyło i przekonałem się że użycie palnéj broni nie było mu wcale obcém. Podałem mu drugi pistolet do ręki, ale łatwo mi było dostrzedz że nie umiał się z nim obejść. Pokazałem mu że trzeba tylko pociągnąć za cyngiel, nakoniec odważył się wystrzelić. Głośny i szczególny śmiech był oznaką jego zadowolenia. Uważając pilnie tego człowieka dostrzegłem że był nadzwyczajnie brudnym i że od urodzenia nie musiał się umywać.

Chciałem się z nim rozmówić, po angielsku, nie rozumiał ani słowa, po hiszpańsku, próżne usiłowania, wszystko co tylko rozumiał z tego języka były wyrazy *rum i tabac*, które ustawicznie powtarzał z chciwością. Dałem mu paczkę cygarów które przyjął z oznaką największéj radości, potém kazałem mu dać jeść i pić, a w mgnieniu oka pochłonął wszystko co mu podano.

Usiłowałem rozmówić się z nim przez znaki, między innemi zapytałem go czy w téj stronie wielu znajdziemy dzikich. Zrozumiał mnie i przez obrzydłe jesta odpowiedział że wprost port-Famine znajduje się wielka liczba dzikich. Gdy już po części zaspokoiłem moją ciekawość, zo-

stawiłem mego Patagona i powróciłem natychmiast na czółno.

Około południa gdy wydano rozkaz aby ładzie okrętowi wylądowali dla nabrania drzewa i wody, wziąłem z sobą czterech dobrze uzbrojonych majtków, wsiedliśmy w czółno i skierowaliśmy ku zatoce którą nam rano pokazał dziki, a którą nazywano zatoką Saint-Georgie.

Byliśmy jeszcze daleko od brzegu, gdy mnóstwo dzikich spostrzegłszy nas wydało odgłos radości, a przez liczne znaki zapewniali nas o swojéj przyjazni i pokoju. Gdyśmy byli już bardzo blisko nakazałem im przez znaki aby się oddalili od brzegu, byli posłuszni, i wylądowaliśmy bez trudności. Poczém kazałem się zbliżyć dzikim i usiąść w półkole, co uczynili, z radością i posłuszeństwem jakiego się po nich nie spodziewałem. W liczbie tych ludzi, znajdowali się dwaj dowódcy którzy nie tyle byli spokojni i uprzejmi jak wszyscy, zagłuszali mnie prawie swojém krzykiem o tytoń i rum, nie mogłem się ich inaczej pozbyć jak dając im pudełko z cygarami. — Podzieliłem potem między innych worek z rodzynkami i innemi drobnostkami, jako to gwozdźmy, szklannemi

paciorki, i cygara ktore oni przenosili nad wszystko.

Ich ubiór był podobnym ubiorowi jaki miał dziki którego widziałem rano, włosy mieli ucięte prosto jak księża, i ściśnięte około głowy przepaską, za którą zatykali strzały idąc na polowanie. Ich twarz była pomalowana pewnym rodzajem okry, okrąg oczów także mieli ubarwiony rożnemi kolorami, niektórzy z nich mieli wykałane ręce i nogi, zdawało się że nie mieli żadnych przepisów, ponieważ jedni mieli całą twarz malowaną a inni tylko niektóre części, każdy kolorem jaki mu się podobał. To upstrzenie jakkolwiek nadawało im wyraz dzikości, niebyło jednakże bardzo odrażającém. Rozumiałem, że każdy Patagon ma *postać przerażającą* i mówiąc *ryczy jak woł* jak ich opisuje kawaler de Pigafetta, co do mnie znalazłem ich w lepszém świetle.

Gdym już rozdał wszystkie drobnostki jaki zsobą przyniosłem, powróciłem na statek i po dwóch godzinach znowu byłem na lądzie. Przeszło dwustu dzikich zgromadziło się na brzegu; chcąc sprobować zaprowadzić mały handel z niemi napełnim prawie całe czółno rodzynkami, gwoździmi, małemi siekierkami, nożami, i cygarami. Zamiarem moim było zamienić te przedmioty za skóry wigoni. Jeden z dzikich który dość zrozumiale mówił po hiszpańsku, uwiadomił mię, że o sześć mil wgłębi mają swoje chatki, i że mogę tam udać się nie obawiając się żadnego niebezpieczeństwa; postanowiłem korzystać ze zdarzonéj sposobnosci, aby

niec po długich staraniach przystąpiliśmy do zgody.

Ze wszystkiego com przedstawił oczom dzikich, najwięcéj podziwienia wzbudziło zwierciadło; za pierwszém spojrzeniem wszyscy się cofnęli zdziwieni, patrząc jeden na drugiego, poczém z ciekawością obejrzeli drugą stronę zwierciadła a nic tam nie dostrzegłszy, ośmielili się jeszcze raz spojrzéć czyniąc tysiączne wykrzywiania i śmiejąc się głośno.

Ciało tych dzikich jest koloru miedzianego, ich włosy są proste i twarde jak szczecina.

Widząc że wiatr pomyślny powstał, chciałem powrócić na moj statek. Moja eskorta towarzyszyła mi, ale widząc że morze jest wzburzone, osądziłem że rozsądniéj będzie pozostać na lądzie, powróciłem więc do obozu a że już noc zapadła w pierwszym więc namiocie jaki napotkałem, położyłem się na ziemi, i zasnąłem, nie troszcząc się wcale, że w tak szczególném towarzystwie noc przepędzę. Gdym się nazajutrz obudził, ujrzałem się otoczonym liczną rodziną składającą się z ojca, matki, pięciorga dzieci i ze dwunastu psów, których w każdym namiocie można było znaleść, albowiem te zwierzęta wielkie świadczyły im przysługi na polowaniu.

Mój gospodarz miał o mnie wszelkie staranie, zastawił śniadanie z mięsa gotowanego wigoni, w nagrodę czego darowałem mojemu gospodarzowi, siekierę, lustro, i inne drobiazgi, a tém samém uczyniłem go bogatszym od innych, bo żaden nie posiadał tego co on. Również i córce jego uczyniłem wiele podarunków. Przepędziłem cały dzień między niemi, byłem świadkiem ich za-

bliżéj poznać obyczaje tego dziwnego narodu. Wsiadłem więc na konia, i w towarzystwie kilku majtków i sześciu dzikich których przychylność pozyskałem przez moje podarunki, udałem się do ich obozu.

Trzy mile na zachód pomiędzy górą nazwaną *Misére* i inną znacznéj wysokości ujrzałem wodospad który spadał z wysokości sześciuset stóp Szum spadającéj wody pomiędzy ułomki skał, był zadziwiający, a widok wspaniały. Z wysokości małego pagórka dostrzegłem obóz dzikich, złożony ze stu przeszło w nieporządku rozrzuconych namiotów, utworzonych ze skór zawieszonych na żerdziach. Opodal mnóstwo koni pasło się swobodnie.

Zatrzymałam się aby odrysować ich obóz, ale wkrótce dostrzegłem że to się im wcale nie podobało; dzicy zbliżyli się do mnie gniewnie spoglądając i wytrącili mi ołówek z ręki. Ta niechęć do piszącego lub rysującego pochodzi ztąd że wszelkie pisma i rysunki mają oni za magiczne znaki których skutków obawiają się.

Za mojém przybyciem do obozu, zostałem otoczony tłumem mężczyn, kobiet, dzieci, i psów z rassy hiszpańskiéj. Wszystkich oczy były na mnie zwrócone, każdą część mojego ubioru oglądali z największą ciekawością. Gdy dostrzegli że mi ich dzieci zaczęły się naprzykrzać, oddalili je natychmiast. Przedstawiłem przedmioty które przywiozłem z sobą i pokazawszy na skóry wigoni, chciałem im daj poznać, że chciałbym z niemi uczynić zamianę, ale pomimo usilnych starań nie chcieli mnie zrozumieć, nako-

ław, zwiedzałem ich pomieszkania, oglądałem ich łuki, i nad wieczorem powróciłem na okręt. Ich kobiéty siedzą na koniu jak mężczyzni, i można śmiało powiedzieć że nie ustąpiłyby tak w prowadzeniu konia jako też silném trzymaniu się na nim, najdoskonalszemu jezdcowi angielskiemu...

Pomimo że nie są piękne, i przeznaczone do najuciążliwszéj pracy, jednakże ich mężowie są niewypowiedzianie zazdrośni, nie spuszczają ich nigdy z oka, i wszędzie im towarzyszą z bronią w ręku.

Patagoni jest to lud błąkający się, ich ziemia jest nadzwyczajnie płodną i gdyby ją chcieli uprawiać, mieliby wszelkiego rodzaju płody, ale nie chcą się tém trudnić i jedynie poświęcają się polowaniu. Czczą dwa bóstwa, które nazywają: jedno: *Chalebol* albo *Jélébos* drugie *Chelauda*. Gdy są bliscy śmierci, dziesięciu djabłów przychodzą śpiewać przy łożu umierającego, i jak mi dziki u którego noc przepędziłem przez znaki opisywał, ci djabli mają rogi, a płomień bucha z ich paszcz. Oto jest wszystko co mogę ci milordzie powiedzieć o tym dzikim narodzie.

Grzegorz dokończywszy opowiadania zamilkł.

— Czy to już wszystko, zapytał starzec, czy nic więcéj nie zaszło w porcie *Misére*

— Zapomniałem jeszcze o szczególniejszym wypadku. W chwili gdyśmy mieli odbić od brzegu, człowiek na wpół nogi tak jak Patagoni, z włosami w nieładzie i długą brodą, rzucił się między nas wołając. Na pomoc! w imie nieba! Wydarliśmy go z rąk dzikich i odbiliśmy

od brzegu. Gdyśmy przybyli do okrętu, nieznajomy zapytał o kapitana, który go przyjął jak najuprzejmiéj i powierzył go chirugowi okrętowemu. W piętnaście dni późniéj spotkaliśmy okręt który płynął do Anglji, ponieważ jeszcze daleką mieliśmy odbyć podróż, nieznajomy wsiadł na okręt który powracał do Anglji, i opuścił nie uwiadomiwszy nas o swojem nazwisku i znaczeniu, to nam tylko było wiadomém, że przez rozmaite wypadki, był więźniem u Patagonów.

— I nic więcéj panie Grzegorzu.

— To już wszystko, odpowiedział.

— Jeszcze cóś ukrywasz...

— Nie milordzie... przysięgam ci.

— Nie przysięgaj, ponieważ wiesz dobrze, że ten nieznajomy swoje życie i wolność był winien jedynie twojéj odwadze. Dodam jeszcze i to, że ranę którą masz na ramieniu odebrałeś wtenczas, gdyś tego nieznajomego wydzierał z rąk dzikich, i zasłaniał go własnemi piersiami. Uściskaj mnie waleczny młodzieńcze, bo tym nieznajomym, jestem ja!...

— Ty milordzie!...

— Ja sam. — Dowodząc okrętem, który się rozbił o pobliskie skały kraju Patagonów, sam tylko ocalałem i dostałem się w ich ręce doznając najokropniejszego obchodzenia się. Gdy ujrzeli zbliżający się wasz okręt lękając się aby nie utracili swego więźnia, związawszy mnie, zamknęli w jednéj ze swoich chatek, — Dowiedziawszy się żeście wylądowali na wyspę, rozpacz mnie natchnęła, przegryzłem moje węzły, i pobiegłem do ciebie, dzicy chcieli mnie przytrzymać,.... przyszłeś mi na pomoc... reszta ci wiadom

I powtornie ściskal z wzruszeniem rękę młodego marynarza.

— Teraz pozostaje mi wynagrodzić mego wybawcę, rzekł lord Bendey, odważnego młodzieńca, któremu winien jestem życie i szczęście mojéj rodziny, Grzegorzu Kook, przysposabiam cię za mojego syna, odtąd cały mój majątek będzie należał do ciebie, a po mojéj śmierci odziedziczysz tytuł para.

Kook osłupiały chciał mówić, ale słowa konały na jego ustach, pomyślał tylk pełen radości. „Saro! Saro! to szczęście zbliży mnie do ciebie!

— A ponieważ potrzeba aby mój dziedzic miał żonę i aby piękne jego imie nie zaginęło, ja mu ją sam wybiorę.

— O milordzie! milordzie! zawołał młodzieniec, który głos odzyskał, dla czegóż za tyle twoich dobrodziejstw, muszę ci się stać nieposłusznym na pierwsze twoj rozkazy! Ja który bym ci życie poświęcił aby ci tylko okazać moją wdzięczność,, muszę wyznać że nie mogę przyjąć wyznaczonej mi przez ciebie małżonki któréj nie znam, któréj nie chcę znać... bo ja kocham inną!...

—Lecz ta ktora ci daję jest młodą, piękną bogatą, dobrą, i szlachetnego rodu, łączy ona w sobie wszystkie przymioty ciała i duszy...

— Kocham inną milordzie.

— A ona jestże ci wzajemną?

— Nie wie nawet o moich uczuciach.

—Ależ mój przyjacielu, podobne postępowanie jest dziecinném; wybieraj więc, albo przyjąć żonę którą ci daję, albo, zostać na dal biednym chorążym fregaty.

—Zostanę nim milordzie, nie przestając jednakże zawsze ci być wdzięcznym za wszystkie dobrodziejstwa któreś mi tak wspaniałomyślnie ofiarować raczył.

—Przynajmniéj ją zobacz, uparty młodziku.

—Choćby była tak piękną jak anioł, nic nie zmieni mojego postanowienia.

—Zobaczemy mój przyjacielu, rzekł starzec pociągając za dzwonek,...drzwi się otworzyły,... i weszła kobiéta.. była to miss Sara...

— Jakto? nie chcesz mnie pan zaślubić, zapytała Grzegorza który w téj chwili upadł jéj do nóg, ściskając mu rękę.

—Ah! to jest sen, zawołał Grzegorz.

—Sen który będzie trwał przez całe nasze życie.

—Boże! przez cóż zasłużyłem na tyle szczęścia!

—Przez twoją odwagę, twoją dobroć, i serce prawe i szlachetne. — Daję ci moje imie, bo wiem że niczém go nie splamisz, oddaję ci także mój majątek, bo jestem pewnym że go dobrze użyjesz, oddaję ci także moją siostrzenicę bo ją uczynisz szczęśliwą.

Przysięgam to przed Bogiem i przed wami, byłbym nikczemnym gdybym miał choć jednę łzę z jéj oka wydobyć.

— A jednakże, czy wiesz że twoje wyrazy wyciskają łzy z jéj oczów.

— Tak jest, ale to są łzy radości, odpowiedziała Sara.

SPIS RZECZY

W TOMIE VII ZAWARTYCH.